Cena 60 groszy.

Mój Przyjaciel

Podróże — Przygody — Nauka

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

Rok V. Warszawa, marzec 1928 № 3.



Uderzenie pięści spadło obuchem na głowę Barforda... (str. 71)

MÓJ PRZYJACIEL

PODRÓŻE · PRZYGODY · NAUKA

Rok V. Warszawa, marzec 1928 Nr. 3.

Zbawienna katastrofa.

Co za sens może mieć połączenie tak krańcowo przeciwnych wyrazów jak „zbawienny“ i „katastrofa“? Pojęcia te, zdaje się, powinny zawsze się wykluczać. Ze słowem „katastrofa“ w umyśle naszym łączy się myśl o wielkiem nieszczęściu, o jakiejś tragedji okropnej, przejmującej widzów uczuciem zgrozy i litości dla ofiar. W jaki sposób katastrofa może być dla kogoś „zbawieniem“?

A jednak tak bywa. Co więcej, można twierdzić nawet, że każda katastrofa bywa do pewnego stopnia zbawienna... dla tych, kto nie był jej bezpośrednią ofiarą. Gdyby nie straszne nieszczęścia w kopalniach węgla, które tak często się zdarzały kilkadziesiąt lat temu, górnicy i dotychczas pracowaliby w warunkach, zagrażających stale ich życiu. Gdyby nie tragedja z olbrzymim okrętem „Titanic“, niktby nie zmusił towarzystw żeglugi do miljonowych, wydatków związanych z zapewnieniem wszystkim pasażerom absolutnego bezpieczeństwa. Każda wielka katastrofa otwiera ludziom oczy na nienormalny stan rzeczy, który ją wywołał. Jest groźnem i dobitnem ostrzeżeniem na przyszłość. I ostrzeżenie to zawsze daje zbawienne skutki...

Wszystko to w równej mierze odnosi się i do katastrof moralnych, które bywają częstokroć bardziej tragiczne i bardziej brzemienne w skutki, niż katastrofy materjalne. Zdarzają się niekiedy wypadki, które otwierają oczy zdumionemu społeczeństwu na naprężone i groźne stosunki w tych dziedzinach życia, gdzie wszystko zdawało się być w najlepszym porządku. Tak w ostatnich dniach społeczeństwo niemieckie, a za nim i cały świat cywilizowany, zostało zaskoczone wypadkami, które rzuciły jaskrawe i bezlitosne światło na stan umysłów uczącej się młodzieży. Wyszło najaw, że młodzież niemiecką nurtują prądy, które dadzą się porównać tylko z gangreną, wymagającą natychmiastowej radykalnej operacji.

Nie będziemy na tem miejscu przypominali szczegółów głośnego procesu berlińskiego. Wierzymy w to, że przyszłość zaoszczędzi naszemu społeczeństwu smutnej sensacji, — ujrzeć defiladę morderców, rozpustników i degeneratów, rekrutujących się z uczniów gimnazjalnych, jaka przewinęła się przed sądem w Berlinie. Nie wątpimy również w to, że młody nasz naród posiada większą odporność na niektóre choroby moralne, niż nasz sąsiad z zachodu, chełpiący się swą „wyższą kulturą“. Ale nie należy zapominać, że jednakowe przyczyny mogą wywołać jednakowe skutki. Pod tym względem proces berliński jest tą właśnie „zba

wienną katastrofą", która ostrzega cały świat cywilizowany przed groźnem niebezpieczeństwem.

Nie będziemy też doszukiwali się przyczyn, które zepchnęły kilku uczniów berlińskich na dno otchłani moralnej zgnilizny. Ustalenie przyczyn zła i walka z niem jest sprawą ogromnie doniosłą, lecz i niezmiernie trudną, i dostarczy żmudnej pracy nie jednemu pokoleniu wychowawców. Postawmy kwestję w innej, „twórczej" płaszczyźnie. Skoro sprawa berlińska dowiodła dobitnie, że pewne odłamy młodzieży zboczyły z drogi zdrowego rozwoju, — wysiłki społeczeństwa powinne być skierowane ku temu, aby normalny i zdrowy rozwój młodzieży przyśpieszyć i pogłębić.

Przy takiem postawieniu sprawy, śród wielu zawiłych i poważnych zagadnień, na czoło wysuną się dwie kwestje: odpowiedniej lektury dla młodzieży, — szczepienie, że tak powiemy, intelektualne, i sprawa rozwoju fizycznego — szczepienie eugeniczne. Czy kwestje te w ich stanie obecnym możemy uważać za załatwione?

Otóż stwierdzić należy, że co się tyczy lektury młodzieży, rozpatrywanej w danym wypadku z punktu widzenia jej treści moralnej, miast postępu zanotować możemy raczej upadek. Sztuka pisania, „technika autorska" stoi obecnie na bardzo wysokim poziomie. Forma zazwyczaj bywa bez zarzutu, lecz treść moralna, t. zn. strona ideowa, często więcej niż wątpliwa. Nikt nie może odmówić talentu tak popularnym śród młodzieży pisarzom jak Erenburg lub dajmy na to Ewers, jak również nikt nie będzie zaprzeczał, iż nihilizm moralny tych autorów czyni ich wprost niebezpiecznymi dla młodzieży. Bohaterowie procesu berlińskiego nie szukali natchnienia u Coopera, śród jego niekiedy naiwnych, ale jakżeż szlachetnych postaci, ani u Dickensa, lub Hugo... Było to całkiem zbyteczne, albowiem literatura nowoczesna, wspólnie z kinem, dostarczyła im bardziej bliskich i ponętnych ideałów ze świata detektywów, apaszów i innych rycerzy rewolweru i więzienia.

Nie należy, oczywiście, słów powyższych uogólniać, biorąc je za wyraz sądów naszych o całokształcie literatury nowoczesnej. Chodziło nam wyłącznie o podkreślenie pewnych tendencyj amoralnych i szkodliwych, które są wybitną cechą twórczości niektórych autorów, bardzo popularnych obecnie śród młodzieży. Na tem miejscu należy podkreślić, że nawet literatura, przeznaczona *wyłącznie* dla młodzieży, nie bywa zazwyczaj przepojona tendencjami szlachetnemi. Prasa polska, zwłaszcza pisma pedagogiczne, niejednokrotnie wskazywały na brak na rynku księgarskim odpowiedniej lektury dla młodzieży. Ot co naprzykład czytamy w artykule p. St. Bełżeckiego, umieszczonym w miesięczniku „Życie Szkolne" (chodzi o indyjską „rewolwerową" literaturę).

„W opowieściach tych, przeznaczonych dla młodzieży, gloryfikuje się mord i polowanie człowieka na człowieka... Historje te urągają wszelkiemu poczuciu człowieczeństwa. Literatura taka deprawuje naszą młodzież: zamiast wpajać wzniosłe zasady miłości bliźniego, kultywuje dzikie instynkty, uczy szowinizmu i fanatyzmu.

Niech młodzież nasza czyta o bohaterach, zdobywających śnieżne Eweresty, lodowate bieguny i burzliwe oceany, niech czyta i zachwyca się Amundsenem, Nungesserem, Lindbergiem, niech czyta i podziwia śmiałość „czarnej ekspedycji" wzdłuż Afryki i wyprawy orjentalnej do Mongolji...

Odwieczny instynkt walki młodzieży polskiej należy skierować na inne tory".

Szczupłe ramy naszego artykułu nie pozwalają nam zastanowić się nad innemi zagadnieniami, nie mniej poważnemi, do których w pierwszym rzędzie zaliczamy kwestję fizycznego wychowania młodzieży. Powracając do głównego tematu naszego artykułu, powtórzymy raz jeszcze, że proces berliński był rezultatem działania wielu różnorodnych przyczyn, bardzo złożonych i tkwiących głęboko w organiźmie powojennej Europy. Wysunęliśmy w naszym artykule tylko jedną z nich — szkodliwe i destrukcyjne działanie lektury — albowiem jest to kwestja najbardziej bliska naszemu sercu,—kwestja chwastów na niwie, którą orzemy.

Zaczarowana Rzeka.

Niezwykła przygoda, stanowiąca tło tego opowiadania, nie jest wytworem fantazji autora, lecz autentycznem wydarzeniem. Angielski miesięcznik „The Wide World", gdzie pojawiło się to opowiadanie, pisze: „Nie chcemy wskrzeszać dawnych nienawiści, które stopniowo wygasają, i dlatego zmieniamy imiona aktorów tej tragedji, jak również nazwę miejscowości. Ale co się tyczy fabuły, opowiadanie nie zawiera ani jednego szczegółu wymyślonego".

Czy pan naczelnik naprawdę życzy sobie przenocować w tym domu ...w domu Pieta Hooga?

Barford, oficer południowo-afrykańskiej konnej policji podniósł się w strzemionach i przyjrzał się uważnie fermie, która stała samotnie na szerokim, wypalonym słońcem stepie.

— A więc to ma być ta przeklęta ferma? — wymamrotał z niezadowoleniem.

Usta Nyongwany, murzyna policjanta, który pieszo towarzyszył Barfordowi, wykrzywiły się ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

— Ośmielę się zapytać, czy mam zameldować panu pułkownikowi Mastermannowi o tej naszej podróży?

Ogorzała twarz Barforda zlekka zarumieniła się, ale wysiłkiem woli powstrzymał wzbierający w nim gniew. Cóż u licha! Nie dość na tem, że ten stary idjota Mastermann zabronił mu zbliżać się do fermy Pieta Hooga, ale dał widocznie odpowiednie instrukcje Nyongwanie... Tego jeszcze brakowało! Czy poto się ma dwadzieścia lat i rok służby w policji, żeby potem cuchnący murzyn pilnował ciebie jak niańka niemowlęcia!

— Jestem tu służbowo, — odparł młody oficer szorstko, — i nakazuję ci, żebyś udał się do fermy razem ze mną! Zrozumiano?

— Panie naczelniku, — przemówił pośpiesznie murzyn, — czy jestem młodą kuropatwą, aby spokojnie fruwać nie bacząc na celny karabin Pieta Hooga? I cóż to pomoże angielskiemu oficerowi, gdy mu będzie towarzyszył taki nędzny murzyn w mundurze policji? to podziała jak garść prochu na tlejące węgle! Niech pan pamięta, panie naczelniku, o tej djabelskiej muzyce, i niech pan mi wierzy, że na zaczarowanej rzece nikt nie potrafi ani płynąć, ani utonąć! W tym domu po nocach rozlegają się dźwięki dziwnej muzyki, i w tym domu również znikają ludzie...

Szczery śmiech Barforda przerwał tę tajemniczą orację.

— Nyongwana, — powiedział oficer, — nie udawaj głupiego, i nie rób miny, że wierzysz głupim bredniom... Ale widzę, że poprostu tchórzysz; nie spodziewałem się tego po tobie... Możesz iść, gdzie ci się żywnie podoba; nie jesteś mi wcale tak potrzebny...

Ku zdziwieniu Barforda policjant nie obraził się. Przeciwnie, podniósłszy swą lancę na znak pożegnania, zeszedł ze ścieżki i znikł natychmiast w gęstych zaroślach krzaków. Barford puścił konia kłusem, i za kilka chwil wjeżdżał już na szeroki podwórzec fermy. Naokoło panowała przygniatająca cisza. Jedyną żywą istotą na opustoszałem podwórzu zdawał się być ogromny pawjan, który na widok obcego wyszczerzył zęby i jął groźnie potrząsać łańcuchem, którym był przykuty do słupa werandy. Barford rozglądał się naokoło, zdziwiony i niezdecydowany, gdy wtem drzwi domu otworzyły się i na werandzie zjawiła się kobieta.

Była to piękna dziewczyna, ubrana w skromną białą suknię bez żadnych ozdób. Jej blada cera wydawała się jeszcze delikatniejsza na tle hebanowo czarnych włosów. Rysy jej twarzy byłyby klasycznie piękne, gdyby nie podbródek, który zdradzał energję prawie męską i surowe, dumne spojrzenie oczu. W ich szaro-błękitnej głębinie kryła się tragedja, i jeszcze coś nieuchwytnego i niesamowitego.

Twarz ta wskrzesiła w pamięci Barforda widziany gdzieś obraz, przedstawiający głowę Meduzy. Gdy młody oficer przywitał dziewczynę grzecznym ukłonem, oczy jej błysnęły złowrogo. Nie odpowiedziała na ukłon i stała nadal w drzwiach domu, z widoczną niechęcią spoglądając na oficera.

— Dzień dobry pani, — zaczął Barford. — Czy jest ktoś w domu?

— Prócz mnie niema nikogo, — odpowiedziała oschle. — Czego pan sobie życzy?

— Właściwie chciałem... chcę się zobaczyć z panem Hoogem, prawdopodobnie ojcem pani, — wybełkotał Barford.

Po twarzy dziewczyny przemknął jakiś dziwny wyraz, tak szybko, że Barford nie zdążył zdać sobie sprawy, jak niewłaściwe było jego pytanie.

— Pan mówi o moim wuju, — odparła tym samym zimnym i obojętnym tonem, jak i przedtem. — Mój ojciec umarł, — został zamordowany przez Anglików...

Pierwszą myślą, która przyszła Barfordowi do głowy, było, że ma do czynienia z warjatką; rzeczywiście, w zachowaniu się tej młodej kobiety było coś nienaturalnego. Nie zwracając uwagi na tak niemiłą odpowiedź, powrócił do sprawy.

— Chcę się widzieć z panem Hoogem — powtórzył, tym razem bardziej stanowczym głosem. — Czy nie będzie pani łaskawa poinformować mnie, kiedy pan Hoog powróci do domu?

— Czy mój wuj zawinił w czem przed władzą?

Młody oficer stracił cierpliwość.

— Co do tego, nie mam wątpliwości, — odparł drwiąco. — Ale ja niedawno temu przybyłem w te okolice i nigdy nie byłem jeszcze na tej fermie. To jest bezpośrednim powodem mego przyjazdu; jestem tu służbowo.

— W takim razie uprzedzam pana, panie Angliku, — powiedziała dziewczyna, — niech pan się wynosi czem prędzej, zanim mężczyźni wrócą do domu. Tutaj, jak brzmi wasze przysłowie, powietrze jest trochę szkodliwe dla Anglików. Nie bardzo ich lubimy, a gdybyśmy potrzebowali policji, posłalibyśmy po nią.

Jej szyderczy uśmiech i aluzja, dotycząca jego podrzędnego stanowiska w społeczeństwie, wytrąciły młodego urzędnika z równowagi.

— Dziękuję,—odparł oschle.—Lecz niestety z tego, co już słyszałem o tym domu, wynika, że policja będzie musiała długo czekać, nim ją zawezwą. — Zresztą, pod żadnym pozorem nie ucieknę stąd, jak pani tego sobie życzy.

Tymczasem dziewczyna uważnie przyglądała się twarzy Barforda. Coś widocznie musiało przykuć jej uwagę, gdyż nagle zapytała surowym tonem sędziego, który bada kryminalistę:

— Jak się pan nazywasz, panie Angliku?

— Jestem Trewor Barford, oficer południowo-afrykańskiej konnej policji, — odrzekł młodzieniec, wyraźnie podkreślając ironiczną dokładność odpowiedzi.

— A-a! — zawołała dziewczyna, z dziwnym uśmiechem, który wcale nie harmonizował z posępnem spojrzeniem jej oczu. —Dobrze, panie Angliku—wejdź pan, chociaż, zdaje się, będziesz pan żałował, że nie usłuchałeś odrazu mej rady.

* * *

Dwóch mężczyzn stało nieruchomo, w milczeniu przyglądając się Barfordowi. Piet Hoog, olbrzymi, czarnobrody atleta, i syn jego Dirk, młodzieniec



— A więc to ma być ta przeklęta ferma? zapytał Barford.

jeszcze bardziej muskularnych kształtów, — obydwaj mieli te same głęboko osadzone błękitno stalowe oczy, które nadawały taką oryginalność pięknej twarzy dziewczyny. Barford nie próbował ani wyciągnąć ręki na przywitanie, ani wszcząć rozmowy. W tej sytuacji uznałby to za tchórzostwo.

Stary Boer pierwszy przerwał uciążliwą ciszę.

— Jeszcze jeden przeklęty Anglik! — wycedził po holendersku przez zaciśnięte zęby. — Po jakiego djabła on tu przyszedł?

Dziewczyna odpowiedziała coś w tym samym języku. Między nią a Boerami wywiązała się ożywiona rozmowa, podczas której wszyscy troje odeszli w drugi koniec pokoju. Barford, sądząc z przelotnych spojrzeń, rzucanych w jego stronę, domyślał się, że dziewczyna objaśnia mężczyznom cel jego przyjazdu.

Już nie pierwszy raz Barford musiał żałować, że nie nauczył się jeszcze języków miejscowych. Z długiej rozmowy zdołał tylko pochwycić kilka razy powtórzone własne nazwisko, i jeszcze jedną nazwę — „Zaczarowanej rzeki“. — Cóż to, do licha, za rzeka? myślał zrozpaczony,— i dlaczego ten łotr Nyongwana tak uroczyście mnie ostrzegał?

Rozmyślania jego zostały przerwane, gdy dziewczyna, zostawiwszy mężczyzn w kącie pokoju, zbliżyła się do niego. Tym razem, ku wielkiemu zdziwieniu Barforda, słowa jej były nacechowane uprzejmością i gościnnością.

— Panie Angliku, — powiedziała z uśmiechem, — pan pozostanie u nas przez jedną noc. Jeżeli pan sobie życzy, mogę wskazać panu jego pokój.

Przyprowadziwszy Barforda na piętro i przyrzekłszy zawiadomić go gdy kolacja będzie już na stole, dziewczyna wyszła, zostawiając Barforda zatopionego w rozmyślaniach, — co może oznaczać taka nagła zmiana frontu, i co oznacza ta „Zaczarowana rzeka“.

Kolacja, mimo że była obfita i dobrze zakrapiana whisky, nie była zbyt przyjemna dla gościa.

Przygniatająca cisza panowała przez cały czas posiłku. Piękna dziewczyna nie spojrzała nawet w stronę gościa. Patrząc ukradkiem na jej bladą twarz, na zaciśnięte wargi, wyrażające zło-

wroga i bezwzględną stanowczość Barford miał niejasne uczucie zbliżającej się katastrofy.

Toteż młody oficer z westchnieniem ulgi powitał chwilę, gdy dwaj murzyni sprzątnęli zastawę stołu, a Boerzy wydobyli krótkie fajeczki i zapalili je. Dziewczyna wstała i pytająco spojrzała na starego Hooga. Tamten skinął głową. I wtedy zdarzyło się coś niespodziewanego.

W sąsiednim pokoju, dokąd udała się dziewczyna, zabrzmiały dźwięki muzyki. Z początku słabe, ledwo słyszalne, stopniowo potęgowały się, nabierały mocy i jakieś dziwnej ekspresji. Barford, znawca i amator muzyki, poznał odrazu wstęp do drugiej „Węgierskiej Rapsodji" Liszta. Pianista był bezsprzecznie nieprzeciętnym artystą. Coś niezmiernie sugestywnego było w jego grze, w tej powodzi zagmatwanych, dzikich akordów, działających na nerwy słuchaczy, jak jadowite opary opjum. Barford spojrzał w stronę gospodarza. Oczy starego Boera błyszczały. Wtem, zwracając się do Barforda, przemówił nadspodziewanie czystą angielszczyzną:

— Słuchaj pan, panie Angliku! Większość pańskich współrodaków unika mnie, jak djabeł święconej wody, i *mijn Gott* mają po temu słuszną rację. Pan słyszał już cośniecoś o mnie, i mimo to był pan na tyle czelny, że przestąpił próg mego domu. Mógłbym wziąć pana za kark i wyrzucić na śmietnik, jakem w swoim czasie postąpił z innym intruzem. Ale, dalibóg nie! Z panem będzie już inna sprawa! Słuchaj, Angliku!

Podczas ostatniej wojny z Anglikami w 1901 roku zostałem wybrany na dowódcę armji przez naszą radę państwową. Anglicy przezwali mnie „Czarnym Pietem", i wielu twych rodaków nie zapomni tego imienia do grobowej deski.

Jak tchórzliwie uciekali Anglicy! Uciekali jak zające na jesieni przed gończemi psami. Jakież to świetne były czasy! Murzyni opowiadali, że po jednem słowie „Boer" Anglicy pierzchali na wszystkie strony. Gdybyśmy tylko dorównowali im liczbą! Ale niestety, nie mieliśmy wcale posiłków, a Anglicy nadsyłali tu coraz więcej piechurów i marynarzy, póki cały kraj nie zaczął cuchnąć angielszczyzną...

Twoi rodacy uciekali się do podłych i nikczemnych podstępów. Zabijali nasze kobiety i dzieci. Czy cały świat nie wzdrygnął się ze wstrętu, na wiadomość o zamordowaniu Marji de la R., zabitej na fermie w Kupjes Kraal? To była moja siostra, panie Angliku!

Gniew dusił starego Boera; podniósł rękę do gardła, niezdolny mówić dalej. Barfod widział karabin w ręku Boera i gorzko żałował, że pozostawił własną broń na górze w swoim pokoju.

— Anglicy ustanowili Sąd Kolonjalny, którego zadaniem było — zabijać naszych patrjotów. Mego starszego syna rozstrzelali za udział „w powstaniu". Mnie trzymano przez dwa miesiące w więzieniu i skazano na karę śmierci, a potem zamieniono wyrok — niewiadomo z jakiej przyczyny — na rok twierdzy. Może nasycili się już zamordowaniem mojej siostry — oni nazwali to „przykrym wypadkiem", ci łgarze! — i zabójstwem jej męża, Hugona de la R.

Słuchaj uważnie tej muzyki, Angliku! To gra córka Hugona i Marji de la R. — artystka, która byłaby chlubą naszego kraju, gdyby nie twoi rodacy!

Piet Hoog wydobył z szuflady kopertę i wyjął z niej jakiś papier. Syn jego wziął ten papier z ręki ojca i zbliżył się do Barforda.

— Angliku, — zagrzmiał głos starego. — Spójrz, ten urzędnik, którego widzisz na tej fotografji, był prezesem angielskiego sądu — mordercą i łajdakiem!

Była to duża fotografja wycięta z szpalt jakiejś gazety. Jeden rzut oka wyjaśnił Barfordowi wszystko — to był portret jego ojca, pułkownika Trewora Barford! Młody oficer podniósł się z krzesła blady jak śmierć, i oparłszy

się rękoma o brzeg stołu, powiedział nienaturalnie zimnym i spokojnym głosem:

— Mój ojciec tak samo odzywał się o panu i tym Hugonie de la R. Ale widzę, że pan w dodatku jest jeszcze bezczelnym łgarzem. Czy nie?

— Na miejsce, ty angielska świnio! — ryknął Boer. Ale młody oficer miał już tego dość. Gniew, powstrzymywany dotychczas nadludzkim wysiłkiem woli, teraz wybuchnął gwałtownie. Spojrzawszy dookoła spotkał drwiący wzrok olbrzyma Dirka, który stał tuż koło niego — i, nie zdając sobie sprawy z całego bezsensu swego postępowania, skoczył ku niemu. Straszne uderzenie pięści spadło na głowę Barforda; przewrócił się i potoczył po podłodze. Jak przez mgłę usłyszał czyjś drwiący śmiech i z ogromnym wysiłkiem podniósł się na nogi... Ale w tej chwili mocne ręce chwyciły go i z taką siłą rzuciły o ścianę, że Barford na chwilę stracił przytomność. Ktoś podniósł go z podłogi, usadawiał w krześle, ale Barford, ogłuszony uderzeniem i oślepiony krwią, która spływała obficie z rany na czole, nie miał siły wyprostować się i spojrzeć w oczy swym przeciwnikom.



... mocne ręce schwyciły go i rzuciły o ścianę.

Głos Pieta Hooga dolatywał jakby zdaleka. „Pomyłka jest wykluczona“, mówił stary Boer. „To wykapany ojciec, i nazwiska też się zgadzają . Ej, Angliku, twój nikczemny ojciec chciał, abym oczekiwał śmierci przez całe sześć tygodni. Sześć tygodni, rozumiesz co to znaczy? To nie jest takie przyjemne, — czekać śmierć, ot, naprzykład tak... tak!.. tak!...

Chwycił karabin i kula za kulą trzaskała w ścianę o centymetr od głowy Barforda. Ale młodemu oficerowi wszystko już było obojętne. Mdlał, czuł, że jakaś czarna mgła przesłania mu oczy...

Gruchot wystrzałów zagłuszył potężne i dzikie akordy „Węgierskiej Rapsodji“. Katrina de la R. wbiegła do pokoju i rzuciła się ku mężczyznom...

(Dokończenie nastąpi)

Tłumacz. z ang. **Old Man.**

Juljusz Verne i jego twórczość.

CHARAKTERYSTYKA LITERACKA MISTRZA FANTASTYKI NAUKOWEJ.

Wiek już upłynął od urodzenia Juljusza Verne'a, który przyszedł na świat dnia 8-go lutego 1828 r. i zmarł w r. 1905, zaznawszy jeszcze za życia światowej sławy.

Ten gawędziarz genjalny, którego fantazje entuzjazmowały młodzież obydwu kontynentów a nawet niekiedy umysły uczonych, nie przestaje i dziś jeszcze interesować masy.

Nowe pokolenie czyta jeszcze „nieprawdopodobne prawdopodobieństwa“, które nauka współczesna zrealizowała z rozmachem przewyższającym najśmielsze marzenia autora fantasty. W miarę gdy przyszłość, opisywana przez Juljusza Verne'a, staje się dla nas teraźniejszością, a lepiej nawet — przeszłością, zachwyt nasz przeradzać się zaczyna w podziw. Stajemy bowiem przed zagadnieniem mistrzowskiej sztuki przewidywania, graniczącej z czemś zupełnie nierealnem i fantastycznem.

Ten powieściopisarz o którym często mówią, jako o zdolnym inżynierze lub wielkim podróżniku, nie był ani jednym ani drugim. Często bez żenady wyznawał przed ludźmi, że nie słyszał nic o słynnych matematykach, i że jacht jego *Saint-Michel* nigdy nie prowadził go gdzieś w bezmiary oceanów. Lecz obdarzony cudowną wyobraźnią umiał zręcznie, nawet genjalnie, rozpuszczać jej wodze i na skrzydłach imaginacji bujać po krajach mało lub wcale jeszcze nieznanych.

Pisarz bowiem obdarzony talentem i wyobraźnią może pozwolić sobie na przedstawienie nam pewnych wydarzeń, świadkiem których sam bynajmniej nie był. Czyż przed Verne'm nie mieliśmy już fascynujących powieści Coopera, Aimard'a czy innych, którzy opisywali nadzwyczajne przygody w kraju „Czerwonych Skór“; czy nie przeżywaliśmy niezwykłych wzruszeń w bezmiernych prerjach lub dziewiczym lesie i nie asystowaliśmy przy tańcu skalpów dokoła pala męczarni, aczkolwiek autorzy tych powieści nigdy w życiu swem nie widzieli krwawego tomahawka?



Popiersie Juljusza Verne'a w Amiens.

Twórczość Juljusza Verne'a jest przedewszystkiem wiernem odbiciem zagadnień naukowych epoki.

Było to w roku 1863; drogi żelazne są dopiero dziełem dnia wczorajszego, telegraf drutowy znajduje się jeszcze w powijakach, arsenały trzeszczą od nadmiaru strzelb z krzesiwem... Zdala od szerokich mas, których prasa ówczesna nie marzyła jeszcze zainteresować naukowemi sprawami, kilku lu-

dzi, w zaciszu swych laboratorjów przygotowuje te cuda nauki i przemysłu, które wkrótce wprowadzą przewrót do życia współczesnego. Jeden problem, ponad wszystkie inne interesuje świat: jest nim żegluga napowietrzna. Każde święto kończy się wznoszeniem w wolnym balonie; lotnik Nadar jest człowiekiem najbardziej popularnym we Francji...

Syn adwokata z Nantes, Juljusz Verne szuka swej drogi. Czy to jako autor dramatyczny, czy jako sekretarz Teatru Lirycznego lub agent giełdowy stara się wszystko widzieć i wszystkiem się interesuje. Odwiedza często Nadara, który przygotowuje swego „Olbrzyma" do lotu i prędko zaczyna podzielać pokładane w nim nadzieje.

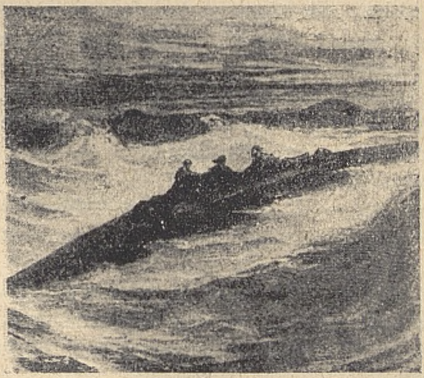
Przepojony tradycją, która wszelkie wyprawy podróżnicze kieruje do ludów dzikich, Verne tworzy w bujnej wyobraźni niebezpieczną wyprawę do nieznanych plemion Afryki, gdzie biali i czarni toczą między sobą zaciekłe boje. Genjalny powieściopisarz ma szczęście znaleźć gorącego zwolennika w osobie wielkiego wydawcy paryskiego Hetzla... i piorunujący sukces „Pięciu tygodni balonem" uświęca tę nową formę nadzwyczajnych podróży.

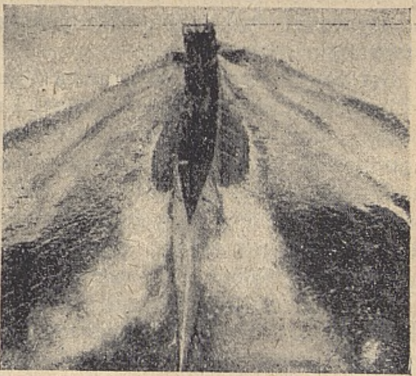
Juljusz Verne niczego nie wymyślił. W ciągu długoletniej karjery literackiej, ogranicza się on do roztrząsania jednego po drugim problemów aktualnych i do wykazania nam z nieporównanem mistrzostwem możliwych i najciekawszych konsekwencyj ich realizacji. Nie pomniejsza to bynajmniej jego zasług. Przeciwnie, choć tematy, które mu służą za punkt wyjścia, są już znane, lecz on jeden potrafi je dopiero wyzyskać. Umysł poszukiwacza, dobry smak i nieprzeciętny talent powieściopisarza, pozwalają mu wyzyskać je w sposób wykluczający współzawodnictwo.

Gdy w najbardziej być może zagmatwanem dziele „Wszystko na opak" przesuwa bieguny ziemskie w sfery umiarkowane, w których łatwo będzie wyzyskać wszelkie bogactwa drzemiące pod pancerzem lodu, — tworzy wtedy natchniony słynnym aforyzmem Archimedesa: „Dajcie mi punkt oparcia, a poruszę ziemię".

Gdy kapitan Nemo w r. 1869 zbudował *Nautilusa*, aby przebyć 20.000 mil pod wodą, Juljusz Verne myślał wtedy prawdopodobnie o pierwszej łodzi podwodnej, spuszczonej na morze w Brest w r. 1863.

Przypomnijmy sobie trzy ciekawe daty: próby z „Nurkiem" r. 1863, próby z „Akrobatą" w roku 1888 i w międzyczasie, bo w r. 1869, pojawienie się





Fantazja a rzeczywistość.

„Nautilus" dawniej i dziś. Z lewej strony łódź podwodna, jak ją sobie wyobrażał Juljusz Verne w roku 1869, z prawej strony „współczesny Nautilus" na pełnem morzu

fantastycznego Nautilusa w „Dwudziestu tysiącach mil podmorskiej żeglugi".

Jak to zwykle bywa na świecie, sława Juljusza Verne'a wzbudziła zaciekłe polemiki. Krytykowano i... krytykują jego obliczenia, styl, a nawet znajomość geografji. Lecz mamy prawo sądzić, że używał on skrupulatnie liczb ścisłych, ale w chwili, gdzie tego wymaga akcja powieści, przeskakuje on przeszkodę niemożliwości, aby za chwilę znowu wkroczyć w dziedzinę oczywistego realizmu.

Zaobserwować to możemy w dziele „Podróż na księżyc". Liczby podane tu przez autora, odległość księżyca od ziemi, przypuszczalny czas podróży pocisku, mknącego z określoną szybkością, są klasyczne; lecz działo, wyrzucające cudowną kabinę w przestrzeń międzyplanetarną, nie odpowiada pod wieloma względami warunkom prawdopodobieństwa. Nie istnieje bowiem jeszcze środek wybuchowy, produkujący gaz, zdolny się poruszać z szybkością 11 kilometrów na sekundę, a konieczny do wyrzucenia pocisku z tąże samą prędkością. W każdym razie podróżni zostaliby zmiażdżeni w chwili odjazdu potęgą rzutu, a deska ochronna, przewidywana przez autora, nie zmieniłaby grozy sytuacji.

Bez hipotezy „naprzekór naturze" podróż staje się absurdem. Posługując się jednak podobnym pomysłem, Verne wyzyskał tylko przysługujące mu prawo powieściopisarza.

Był to niestrudzony pracownik, na swój sposób przerabiający materjał naukowy, jaki był w jego posiadaniu. Jego gabinet pracy oblepiony był mapami i mapkami, na których Verne kreślił marszrutę swych bohaterów. Sam podróżował mało: trzy tygodnie w Ameryce, dokąd udał się na jachcie „Great Eastern", kilka dni w Szkocji i Norwegji, później w Algierze, jedna czy dwie wyprawy wzdłuż brzegów śródziemnomorskich, — oto wszystko. Lecz wystarczyły one do skompletowania danych książkowych, i do odtworzenia oblicza równika i biegunów.

Można się uśmiechać sceptycznie, słysząc słowa uczonego: „Wielka liczba najśmielszych odkryć współczesnych i epokowych wynalazków zrodziła się z bajecznych opowieści „Tysiąca i jednej nocy" oraz z „Podróży nadzwyczajnych"... a jednak posłuchajmy, co mówi sławny dziś Georges Claude* uczony i inżynier francuski. „Juljusz Verne jest czemś więcej niż zwykłym gawędziarzem młodzieży; jego cudowne paradoksy pobudziły mą ambicję do wyzyskania kilku źródeł energji, któremi obdarzyła nas natura... sądzę, jak i wielu innych wynalazców i poszukiwaczy, że autora „Nadzwyczajnych Podróży" umieścić należy w szeregu twórców ewolucji naukowo przemysłowej, ewolucji, która pozostanie charakterystyką naszej epoki".

Nie wiele lat minęło od śmierci genjalnego marzyciela... i oto nieustraszony Lindbergh w 33 godz. przelatuje Atlantyk, śmiały uczony zstępuje do krateru Wezuwjusza, Amundsen i Scott zdobywają biegun, iskra elektryczna pozwala nam słyszeć w Warszawie śpiew artysty w Nowym Jorku; prof. Teremin wykonywa symfonje Bethowena, poruszając palcami nad drutem mosiężnym...

Czy można przewidzieć gdzie jesteśmy i dokąd dążymy? Za wiek, za kilka wieków, o świcie nowego okresu wzlotu nauki, której programu niepodobna sobie nawet wyobrazić, urodzi się, być może, nowy Verne, który potęgą swego umysłu natchnie do czynu nowe pokolenia.

B. Petersilie.

*) Autor słynnego projektu o wyzyskaniu energji cieplnej mórz podzwrotnikowych. Patrz artykuł w „M. Przyjacielu", r. 1927, Nr. 7/8.

SZTUBACY NA WSI.

OBRAZEK Z ŻYCIA GIMNAZJUM SOWIECKIEGO.

Niżej zamieszczamy drugi zrzędu urywek z książki „Pamiętniki Kosti Riabcewa", która ukaże się w tych dniach w przekładzie polskim nakładem redakcji naszego pisma.

3 marca

Dziś Zin-Pałna omówiła z nami rozkład wykładów letnich, któremi osobiście będzie kierowała. A więc, przedewszystkiem, wszechstronnie i dokładnie trzeba zbadać wieś Gołowkino, która znajduje się pięć wiorst za miastem. Z chłopami trzeba będzie nawiązać stosunki, nie zadzierać przed nimi nosa, nie s'awiać się, że jesteśmy mieszczuchami, poznać ich życie i zwyczaje, wyjaśnić im wszystkie interesujące ich zagadnienia, wymierzyć wzdłuż i wszerz całą wieś i, wogóle, być ogniwem, łączącem miasto i wieś. To — po pierwsze.

Po drugie — zaobserwować i zapisać pieśni, baśnie, opowieści i podania ludowe (w miarę możności naszkicować stroje ludowe, ale to ma raczej związek z obyczajami); dla przykładu, jaką bywa epopea narodowa, Zin-Pałna przeczytała nam kilka urywków z fińskiego narodowego poematu „Kalewała". Kiedyś żył sobie w Finlandji taki zbieracz podań ludowych, Runeberg, który pieszo przewędrował cały kraj i zebrał wiele różnych pieśni, inny zaś poeta, Lenrot, stworzył z tego poemat. A wszystko to miało miejsce nie trzysta lat temu, jak u Szekspira, ale w zeszłem stuleciu— znaczy, jakieś sto lat temu. Być może, że trzeba cośniecoś wiedzieć o tych sztukach Runeberga, ale poco — nie mam pojęcia. Czy rzeczywiście mogą kogoś interesować takie dzikie przesądy, jak Baba-Jaga lub biesy? Ja sądzę, że nawet chłopi niebardzo jakoś wierzą w te bajdy. Wreszcie, nawet nie da się porównać tego wszystkiego z naszemi podaniami; naprzykład, Finnowie wierzyli w wielkoludów. Trzech takich olbrzymów połączyło się aby zdobyć skarby Sampo, no i przez ten skarb musieli stoczyć kilka bojów z nieczystą siłą. A teraz, bardzo proszę, jakże tu porównać takich byczych wielkoludów z Babą-Jagą, w dodatku jeżdżącą zawsze na miotle. Zresztą, wszystkie nasze wiedźmy, djabły i t. d. — to straszne, a nie świetlane postacie. Potem, Finnowie mają jakąś tam kombinację, że nie wolno zabijać żab, bo przedtem były one ludźmi, albo że pająkowi należy składać ofiary w postaci wypadłych ludzkich zębów. Według mnie — to ciemnota ludu, i nie warto było tego nawet zapisywać. Trzeba raczej wprowadzić elektryfikację i kooperację na wsi, i będzie socjalizm. Ale Zin-Pałna twierdzi, że trzeba to koniecznie zapisać, chociażby dlatego, że wkrótce wszystko to zniknie przy świetle elektrycznem, a wtedy nie wyszperasz już nigdy tego. Mojem zdaniem, nikomu nie przyśni się nawet doszukiwać się takich bzdurstw. Wszystko to powiedziałem Zin-Pałnie, a ona uważa, że ja nie mam w sobie ani krzty zamiłowania do twórczości ludowej — pierwiastka wszelkiej kultury. Na to nie znalazłem żadnej odpowiedzi i musiałem zapisywać różne banialuki

o gromowładnym Ukku, o Pejwie-Słońcu, i o Tjeremsie z młotem — pogromcy wszystkich czarodziejów. (A to djabli nadali!).

Oprócz tego mamy przed sobą robotę w muzeum krajoznawczem, w dziale wykopalisk najróżnorodniejszych kurhanów. Zin-Pałna mówi, że w odległości ośmiu i pół wiorst od miasta znajduje się starożytna osada, składająca się z kilku kurhanów. Muzeum krajoznawcze sądzi, że tam są pochowani wojownicy z bronią, końmi i żonami. My powinniśmy to wykopać i przesłać do muzeum. Ta praca — to pierwsza klasa, zwłaszcza, kiedy chodzi o broń. Wykopiemy to i urządzimy sobie odrazu tam, na kurhanie, świetny bój. Wogóle, myślę, że przez lato nie zdążymy zrealizować wszystkich planów, bo przecież i inni korkowie nie pożałują nam pracy.

Nikpetoż zachorował i odjechał na dwumiesięczny urlop. Przed wyjazdem ciągle spacerował i rozmawiał z Silwą. Było mi djabelnie przykro, że nie ze mną.

Teraz literalnie nie mam z kim pogadać.

7 czerwca

Wczoraj po raz pierwszy udaliśmy się do Gołowkina. Chłopi byli w polu, zajmując się przeważnie uprawą warzyw. Mnie przypadło w udziale zbadanie zwyczajów ludowych. Otóż zbliżyłem się do jednej chłopki, która pracowała w ogrodzie, i mówię:

— Ciotko, pozwólcie, to wam pomogę w pracy.

— A coś ty za jeden?

— Przyjechałem z wycieczką z miasta.

— Uczniowie, czy jak?

— Uczniowie!

— Latem przyjechali do Pierchuszkowa uczniowie, niby agromowie jacyś. A wkońcu ściągnęli u ciotki Ariny kuferek z bielizną...

— My nie jesteśmy złodziejami.

— A kto was wie, jacy wy jesteście. Lepiej wynoś się stąd i nie przeszkadzaj!

— A czy ty ciotko w djabła wierzysz?

Tu baba skoczyła, strzepnęła ziemię z rąk, i jak nie krzyknie:

— Piotrze-e-e!.. Piotrze!..

Wnet z za płotu wylazło jakieś chłopisko, w ręku trzyma widły i sunie prosto ku nam. A baba mówi:

— Patrz, przypętał się tu jakiś, mówi niby, że jest uczniem, a gada coś o djabłach...

Nabrałem odwagi i mówię:

— Kiedy nietylko o djabłach, mogę wam opowiedzieć i o elektryfikacji i o radjo, i wogóle chcę wam pomóc w czemkolwiek.

— Aha, „zbliżenie się“, znaczy, — odpowiada chłopisko. — No co, to nie szkodzi, nie mamy nic przeciwko, jak będzie do rzeczy. Ale ty, kochanie, przyszedłbyś lepiej w niedzielę: wtedy mamy więcej wolnego czasu.

Tak więc musiałem wrócić z niczem.

Idę sobie dalej, wszędzie w warzywnych ogrodach pracują baby i dzieciarnia. Wtem przyplątał się jakiś kudłaty pies i, wściekle ujadając, skakał mi do oczu. Jak zwykle w takich wypadkach, udałem, że podnoszę z ziemi kamień, ale pies nie przestraszył się, przeciwnie, mocniej szczekał, a ze wszystkich stron dopomogły mu inne kundle, i wszystko na mnie. Słyszałem kiedyś, że w takim razie trzeba spojrzeć psu prosto w oczy, a wtedy zwieje. Wobec tego, że było ich kilka, począłem szybko się kręcić na wszystkie strony, patrząc prosto w ślepia każdemu.

— A co to teraz—zbliżenie się?— rozległ się nagle jakiś głos za mną: patrzę — ten sam chłop z grabiami.

Odpędził psy, a ja poszedłem sobie dalej. Nie zdążyłem jednak minąć dwóch chałup, gdy psy znów obskoczyły mnie, a jeden capnął mnie nawet za spodnie. Ogarnęła mnie wściekłość, wyrwałem kołek z płotu i zacząłem bronić się. Nagle słyszę głos:

— Rzuć kij, rzuć, mówię ci — bo cię rozszarpią.

Rzuciłem kołek, patrzę, idzie jakiś chłop i pyta:

— A tobie co?

— Przyszedłem zwiedzić waszą wieś.

— Tutaj na tyłach niema nic do zwiedzenia, — odpowiada chłop, — łażą, badają... A poco łamiesz płoty; tyś go nie robił, więc nie masz prawa łamać!

Wtem z za krzaków wysuwa się jakaś baba i krzyczy:

— Poszedł won, poszła, mazepa! Łażą tu, węszą, a zaraz świsną ci kuferek, jak u ciotki Ariny, w Pierchuszkowie... Janie!.. Ja-a-a-nie! — krzyknęła wściekle, — gęsi zlicz, gęsi, mówię...

Ledwie uciekłem ze wsi na drogę. Innym naszym uczniom udało się nielepiej, z tą tylko różnicą, że dwóch ledwo nie zbito porządnie za to, że chcieli przeprowadzić pomiary.

20 lipca

Na skutek propozycji muzeum krajoznawczego udaliśmy się wczoraj o świcie do wskazanego nam miejsca, niedaleko od wsi Pierchuszkowo. Kiedyśmy nareszcie dotarli tam, spotkaliśmy już współpracowników muzeum, którzy uczciwie kopali ziemię. Odpoczęliśmy nieco z drogi, posililiśmy się trochę i wzięliśmy się również do kopania. Czas wlókł się strasznie powoli, było coraz upalniej i upalniej, musieliśmy zrzucić nawet marynarki. Wtem łopata Juszki o coś twardego uderzyła; Juszka wyciągnął z ziemi jakiś czarny, okrągły przedmiot. Starszy współpracownik spojrzał i mówi:

— To zwykły guzik.

Chcieliśmy już porzucić kopanie na tym kurhanie, gdy wtem natknęliśmy się na jakieś kości. Ja również wyciągnąłem kość, którą współpracownik określił jako biodrową kość konia. Zebrała się porządna kupa kości, gdy wtem zbliża się pięciu chłopów i pytają:

— Pozwolenie na kopanie macie?

— Oczywiście, mamy, — odpowiadają współpracownicy.

Pokazano chłopom pozwolenie, ale oni odzywają się:

— Nie możemy wam pozwolić kopać, bo wy kopiecie skarby, a ziemia przecież należy do całej gromady naszej. Niema takich praw, że obcy mogą kopać na naszej ziemi.

Długo kłócono się i wyzywano, aż chłopi zagrozili, że zbiorą gromadę ze wsi i wyleją nas. Wtedy jeden z pośród współpracowników odezwał się:

— Chodźta razem kopać z nami, nas jest siedemnastu z łopatami, wydamy wam również łopaty, i kwita. Złoto, które my znajdziemy — należeć będzie do was, reszta — do nas. Chcecie, to dobra, a jak nie, to wołajcie sobie całą wieś na pomoc.

Chłopi udali się na naradę, widać było zresztą, że nie mają oni zamiaru dzielić się z kimkolwiek. Wzięli się wreszcie do łopat i kopali razem z nami. Zauważyłem jednak, że oni kopią jakoś w innym kierunku, a nie tam gdzie my. Współpracownicy muzeum zwrócili im kilkakrotnie uwagę na to, ale oni — ciągle po swojemu. A w naszem miejscu — ciągle kości i kości.

— Dziwna rzecz, — odezwał się jeden ze współpracowników, — nigdy dotąd w żadnym kurhanie nie znaleziono tylu zwierzęcych kości.

Chłopi wogóle kopali nie bardzo długo: jakieś półgodzinki. Potem rzucili łopaty i poszli sobie. Jeden, kiedy odchodził, zapytał nas:

— A poco wam te kości?

— Kości bardzo nas interesują, — odrzekli urzędnicy muzeum. — Według kości potrafimy określić, kiedy powstał ten kurhan, i wiele zresztą innych rzeczy.

— No to idźta sobie na tamtą łąkę — odrzekł chłop. — Tutaj są tylko konie, a tam są również i krowy i inne zwierzęta.

— Jakie to konie? — pytają współpracownicy.

— A to z dziesięć lat temu panował tu księgosusz, taka zaraza bydlęca, — odpowiada chłop. — Więc tutaj, na łące chowano bydło. Ale tam więcej...

Kwita z całej pracy! Zwinęliśmy obóz i jazda do domu.

TO i OWO

Czy chcesz zarobić 500.000 funtów?

Jest to cały majątek. Proponuje go kilka towarzystw ubezpieczeniowych każdemu, kto zdoła wydobyć z dna morskiego bryły złota, spoczywające tam od 6 lat. Oczywiście, towarzystwa te zarobiłyby na tem pokaźną sumę, gdyż wartość złota, pogrzebanego na dnie morskiem, jest trzy razy większa, niż obiecana nagroda. 1.400.000 funtów szterlingów w sztabach złota leży na dnie morskiem wpobliżu portu Brest i czeka na przybycie szczęśliwego nurka, któryby wydobył je na powierzchnię.

Historja zatopionego skarbu przedstawia się jak następuje. 6 lat temu w odległości 40 kilometrów od brzegu, zatonął wraz z całą załogą, angielski okręt „Egipt", wskutek wybuchu kotła i pożaru. Okręt był naładowany sztabami złota, umieszczonemi w metalowych skrzyniach, i stanowił własność kilku londyńskich towarzystw ubezpieczeniowych. Natychmiast po katastrofie poszkodowane towarzystwa zaproponowały 100 tysięcy funtów za wydobycie brył złota i 50 tysięcy na wydatki.

Grupa szwedzkich bankierów wyekwipowała okręt i zaangażowała najlepszych nurków, którzy przeprowadzili badania na miejscu katastrofy. Zostało stwierdzone, że „Egipt" leży na dnie morskiem na głębokości 110 metrów. Zdawałoby się, że nawet nie bardzo głęboko, a jednak kapitan Chudback i jego nurkowie zmarnowali dwa miesiące czasu, i nie wydobywszy skarbu musieli wrócić z pustemi rękami do Szwecji. W ciągu kilku lat żaden nurek nie ośmielił się spuścić w poszukiwaniu zatopionego złota na głębokość 110 metrów, gdzie ciśnienie słupa wody na centymetr kwadratowy przenosi 10 kilogramów. Nawet łodzie podwodne, opuszczające się do tej głębokości, zmuszone są jak najprędzej wypłynąć na powierzchnię, albowiem ich stalowe pancerze nie mogą wytrzymać tak wielkiego ciśnienia.

W ostatnich jednak czasach cały ubiór nurka został udoskonalony. Pewien inżynier w Köln (Niemcy) wynalazł metalowy skafander zdolny wytrzymać ciśnienie słupa wody na głębokości nawet i 100 metrów. Aparat ten został wpierw wypróbowany w laboratorjum, następnie w kanale morskim: jeden śmiałek zanurzył się już nawet zapomocą tego przyrządu na głębokość 75 metrów. Spodziewają się, że aparat wytrzyma nawet większe ciśnienie. Obecnie tenże kapitan Chudback na okręcie „Iroiza", w towarzystwie niemieckiego i angielskiego nurka, przybył do Brest z zamiarem wydobycia wymykającego mu się z rąk skarbu.

Rezultaty tej śmiałej i niebezpiecznej wyprawy mają być podane do publicznej wiadomości.

Miejmy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości księga czynów ludzkich powiększy się o jeszcze jedną niezwykłą stronicę, a przestronna kieszeń kapitana Chudbacka o... 500.000 funtów szterlingów.

Naród, który od 500 lat nie nosi koszuli.

Wydaje się to niemożliwe. W okresie największego rozkwitu nauki i... higjeny, gdy niema prawie zakątka na ziemi, dokądby nie dotarły promienie cywilizacji, ma istnieć naród, który od 500 lat zrzucił tę niezbędną część garderoby?

A jednak tak jest. Od czasu upadku twierdzy arabskiej w Hiszpanji — Grenady, t. zn. od 1492, Arabowie nie noszą już więcej koszul. Walka o Grenadę trwała bardzo długo, Arabowie bronili się zażarcie w murach twierdzy i Hiszpanie w żaden sposób nie mogli złamać dzielnego oporu. Istnieje wiele podań na temat upadku Grenady. Wszyscy znamy przepiękną balladę Mickiewicza, „Alpuharę".

„Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza."

Zaraza, według Mickiewicza, miała być przyczyną upadku potężnej twierdzy i zwycięstwa chrześcijan nad poganami. Ale zwycięstwo Hiszpanów było tylko iluzoryczne

Almanzor, — król zwalczony, okrutnie pomścił porażkę wyznawców Proroka, i, jako poseł dżumy, wrócił do Grenady, aby szerzyć wśród wrogów zarazę.

„Hiszpanie trwożni z miasta uciekli.
Dżuma za nimi w ślad biegła.
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa."

W przepięknej formie połączył Mickiewicz dwie legendy na jeden temat: historyczną prawdę o strasznej zarazie i legendę arabską o zemście Mahometa. Istnieje jednak jeszcze jedna legenda, objaśniająca porażkę Arabów i jednocześnie ich dziwny wstręt do koszuli.

Według legendy, Izabella, królowa Kastylji, dowodząca armją hiszpańską, pragnąc dodać otuchy rycerzom chrześcijańskim, przysięgła, że nie zmieni koszuli, dopóki stopa pogana pozostanie na ziemi hiszpańskiej.

Wkrótce Grenada zostala zdobyta.

Arabowie sądzili, że przysięga królowej spowodowała ich klęskę i dlatego wódz muzułmanów złożył uroczystą obietnicę, że żaden Arab dotąd nie włoży koszuli, aż złoty półksiężyc nie zabłyśnie na murach Grenady.

Tak cierpliwi Arabowie czekają już prawie 500 lat.

Czasopisma w języku łacińskim.

W związku z wzmożeniem się ruchu, skierowanego przeciwko istniejącemu obecnie we Francji systemowi klasycznego wychowania, obrońcy tego systemu założyli dwa czasopisma w języku łacińskim: „Vox Urbis" i „Praeco Latinus".

W pierwszem czasopiśmie współczesny Titus Liwjusz opowiada o ciekawych wypadkach i zdarzeniach ostatniej wojny, drugie zaś pismo zawiera świetne ogłoszenia, napisane w języku Cicerona, które wychwalają najlepszy gatunek amerykańskich kapeluszy: *qualitate nihil est quod his par sit.*

Największy zegar.

Największy zegar na świecie znajduje się w Berlinie. Średnica cyferblatu jego wynosi 7 metrów. Mała wskazówka ma długości 2 metry 20 centymetrów, duża — 3 metry 40 centymetrów.

Egzotyczny monarcha.



Władca Afganistanu, król Amanullath, zdecydował się na daleką podróż do Europy. Król zwiedził Turcję, Włochy, Francję i ma podobno zamiar udać się do Moskwy. Ponieważ królestwo Afganistanu położone jest między azyjatyckiemi posiadłościami Anglji i Rosji i odgrywa ważną rolę „państwa buforowego", podróż egzotycznego króla nabiera znaczenia politycznego. Na rysunku naszym widzimy króla Amanullatha w powozie razem z prezydentem Rzeszy Niemieckiej, Hindenburgiem. Prasa niemiecka gorąco powitała „pierwszego koronowanego gościa republiki niemieckiej".

Niezwykły pacjent.



Wychowankowie berlińskiego „Tier-Garten'u" korzystają z wszelkich dobrodziejstw cywilizacji, do pomocy dentysty włącznie. Wspaniały lew morski musiał się poddać operacji wyrwania zęba; na rysunku naszym widzimy, jak z podwiązaną szczęką włazi na specjalne nosze, aby udać się do szpitala.

Nadzwyczajna operacja.

Słynna angielska „Akademja Medycyny" w Londynie otrzymała następujący telegram od jednego z najbardziej znanych lekarzy angielskich, doktora Hulla:

„Zawiadamiam Sz. Panów, że udało mi się przeprowadzić następującą operację: pewien majtek złamał nogę, złamane miejsce porządnie obmyłem wodą, następnie zlepiłem je stolarskim klejem i mocno związałem sznurem. Noga jest cała".

Sekretarz akademji natychmiast po otrzymaniu dziwnego listu zebrał plenarne posiedzenie wszystkich członków akademji, składającej się z kilkudziesięciu znakomitych profesorów, aby zakomunikować im o przeprowadzeniu nadzwyczajnej operacji. Niektórzy profesorowie twierdzili, że podobna operacja jest niemożliwa, i że pacjent wkrótce poważnie zachoruje. Większość jednak profesorów uważała, że operacia ta w poszczególnych wypadkach jest możliwa, a nawet wskazana.

W kilka dni potem sekretarz Akademji otrzymał drugi telegram od doktora Hulla: „Sz. Panowie! W pierwszym moim liście zapomniałem dodać, że noga, którą operowałem temu majtkowi, była drewniana!"

W ten sposób d-r Hull zażartował sobie z najznakomitszych profesorów w Anglji.

Nowy rekord lotniczy.

Amerykański lotnik Chamberlin (który przeleciał po Lindbergu Ocean Atlantycki) ustanowił obecnie nowy rekord długości lotu. Wytrwał on na swoim aparacie bez lądowania przez 55 godzin. Dotychczasowy rekord, ustanowiony przez niemieckiego lotnika, był 53 godzin.

Praktyczny.

Znakomity amerykański inżynier Thompson twierdził, że żadna siła w przyrodzie nie powinna ginąć bez pożytku dla człowieka. Pewnego dnia do Thompsona zawitał jego przyjaciel. Przywitawszy się z gospodarzem domu, gość zawiadomił go, że wejście do jego ogrodu jest niezmiernie utrudnione, ponieważ furtka źle się obraca na zardzewiałych zawiasach. Dlatego radzi dobrze wysmarować je oliwą.

— Nie mam zamiaru, — odrzekł gospodarz, — a to z bardzo poważnej przyczyny. Furtka jest połączona ze specjalnym przyrządem hydraulicznym, i każdy, kto chce zobaczyć się ze mną, musi przedtem wyciągnąć dwa wiadra wody i wylać je na klomby w moim ogrodzie.

Gość rozłożył w zdumieniu ręce i schylił głowę, podziwiając prostotę genjalnego pomysłu.

Co kraj, to obyczaj.

Pewnej nauczycielce, starającej się o posadę w szkole, w miejscowości Karolinie w Ameryce Północnej, przedłożono projekt umowy, który zawiera następujące specjalne klauzule:

„Przyrzekam objawiać jaknajżywsze zainteresowanie dla wszystkich gałęzi nauki w szkole niedzielnej i oddać mój czas, moje usługi i moje pieniądze bez zastrzeżeń do rozporządzenia gminy.

Przyrzekam zrezygnować z wszelkich tańców, z nieskromnej odzieży oraz z wszelkiego zachowania, które nie odpowiada godności nauczycielki.

Przyrzekam nie ukazywać się publicznie z żadnym młodym człowiekiem, chyba żeby to było konieczne dla podniesienia frekwencji w szkole niedzielnej.

Przyrzekam, że się nie zakocham, nie zaręczę i nie wyjdę potajemnie zamąż.

Przyrzekam, że cały czas mój spędzać będę w szkole, jeżeli nie będę gdzie indziej zajęta pracą dla szkoły lub kościoła.

Przyrzekam pamiętać o tem, że posiadam obowiązki wobec ludności miasta, która mi wypłaca gażę, że do nadzorczej rady szkolnej i do radcy szkolnego muszę się odnosić z respektem i że każdej chwili mam być chętna do usług dla rady nadzorczej i ludności miasta".



Za kulisami srebrnego ekranu.

WIZYTA W POLSKIEJ WYTWÓRNI FILMOWEJ.

Wchodzę do wielkiej sali atelier filmowego. W głębi piętrzą się rusztowania niewykończonej dekoracji wiejskiego kościółka. Na przeciwnym krańcu, przed inną dekoracją przedstawiającą wnętrze obszernej, izby, ustawiono wielkie otwarte lampy łukowe t. zw. jupitery. Za niemi rząd jednookich reflektorów. Z sufitów nawet zwieszają się lampy, są to t. zw. „plafonierki", przeznaczone do oświetleń z góry. Z ustawienia lamp łatwo wywnioskować, iż na tle drugiej dekoracji dokonywane będą zdjęcia.

Z kurytarza wiodącego do pokojów aktorów i ogólnej garderoby statystów, wysypują się zwolna, półgłosem rozmawiające grupki. Kilkunastu ludzi ubranych w mundury rosyjskiej żandarmerji mimochodem pobrzękuje ostrogami.

Kto widział ucharakteryzowanego do występu aktora teatralnego i mniema, iż podobnie wyglądać musi aktor filmowy przygotowany do zdjęć, nie uwierzyłby zapewne własnym oczom konstatując realną rzeczywistość.

Aktorzy filmowi nie są charakteryzowani szminkami barw naturalnych. Aktor teatralny używa wyłącznie szminki koloru czarnego i czerwonego. Aktor filmowy uciekać się musi do bronzowej, fijołkowej, czarnej, czerwonej, różowej, żółtej, niebieskiej i innych, wszystkich nieledwo kolorów tęczy. Wystarczy sobie wyobrazić, iż twarz zbyt szczupła wymaga na filmie pudru pomarańczowego, nazbyt pełna... zielonkawego.

O jakże niesamowicie wyglądać musi słodka Mary Pickford, wdzięcznie uśmiechająca się do objektywu...

Dobiega końca chwilowa przerwa w pracy. Zdradzają to mechanicy, zajmujący swoje miejsca przy wielkich, rozgałęzionych kontaktach elektrycznych.

Naraz cisza. Do atelier wszedł reżyser w asyście paru pomocników. Za chwilę rozpoczną się zdjęcia. Operator pośpiesznie poprawia coś przy wielkim aparacie filmowym, opatrzonym sześcioma objektywami.

— Można zaczynać.

Asystent reżysera odczytuje nazwiska biorących udział w najbliższej scenie. Ogłasza:

— Zebranie spiskowców. Pan X., przywódca, przemawia, reszta zasłuchana.

— Proszę państwa z a j m o w a ć miejsca.

Aktorzy siadają w „izbie". Jedni za stołem inni na ławach.

Asystenci reżysera odpowiednio usadawiają „konspiratorów", by całość tworzyła malowniczą grupę.

— Światło — dysponuje reżyser.

Mechanicy włączają kontakty. Jupitery sycząc przeraźliwie, rzucają przed siebie istną ulewę promieni. Biały, słoneczny dzień Boży niechybnie zarumieniłby się ze wstydu przed tą elektryczną konkurencją.

Większość, prócz biorących czynny udział w zdjęciu aktorów, wkłada czarne okulary nieprzepuszczające wdzierające się w oczy światło. Aktorzy, w miarę możności starają się, dopóki to jest jeszcze możliwe, unikać oślepiających p o c a ł u n k ó w „sztucznych słońc".

— Próba — ogłasza reżyser.

Aktorzy kilkakrotnie powtarzają żądaną scenę.

— Jeszcze raz ponawiamy. Więcej zapału u mówcy. Maximum zasłuchania u pozostałych. Jak najbardziej wczuwać się w moment, który się odtwarza.

Jeden z żandarmów, nie biorących w początku scenki udziału, szepcze coś reżyserowi.

— Dobrze—zgadza się ten—spróbujemy.

„Żandarm" siada do stojącego na uboczu pianina i forte uderza w tony Marsyljanki.

Aktorzy ponownie odtwarzają scenkę. Gest mówcy jest teraz dużo wyrazistszy aniżeli w poprzednich próbach. Wpływ muzyki odbija się również dodatnio na pozostałych.

— Dobrze! — woła reżyser poprawiając parę drobnych szczegółów.

— Wszystkie światła...

Zawarczały bezczynne dotąd reflektory i zwisające z sufitów plafonierki. Wszczęła się dzika symfonja świateł i szumu.

— Panie operatorze — góruje nad wszystkiem donośny głos mówiącego przez tubę megafonu reżysera — zaczynamy...

Przywykłe już do panującego zgiełku ucho podchwytuje turkot obracanej korby aparatu.

— Dobrze, spokojnie... — nadaje werwy reżyser. — Podnosi pan rękę. Zaciska ją w pięść. Dobrze, wytrzymać chwilę. Mówi pan dalej coraz bardziej podniecony.

Na sali rozlega się głośny, szarpany dźwięk dzwonka.

— Dobijają się do drzwi — kontynuuje reżyser — słychać brzęczenie szabel żandarmów. Przerażenie odbiera zebranym orjentację. Spokojniej. Nie zatracać się... Kilka osób zbiera rozłożone na stole papiery i ciska je w palący się na kominku ogień. Żandarmi wchodzą.

Drzwi dekoracji odskakują, jakgdyby wysadzone naporem z zewnątrz. Do izby wpadają żandarmi. Na czele oficer.

— Ręce do góry...

Rzucają się do pozostawionych na stole papierów.

— Wystarczy, przerwać — dysponuje reżyser. — Robimy „zbliżenie" oficera.

Aparat staje tuż przed samym aktorem kreującym tę rolę. Ten chciwie przegląda papiery. Uśmieszek triumfu rozlewa się na jego twarzy.

— Dziękuję — woła reżyser — przerwać, zgasić światła.

Wyłączone jupitery niechętnie kończą głośny swój rozhowor. Dymią rozgrzane do białości ich węgle.

— — — — — — — —

W przerwie, uprzejmy asystent odsłania mi makietę (rodzaj minjatury) typowej polskiej wsi.

Jak garść rzuconych ziaren, rozsiane maleńkie kryte słomianą strzechą chałupki. W centrum wsi kościołek z przyległym doń cmentarzykiem. Wokół zaorane pod zasiew zagony. Nie brak i drogi wiejskiej i pochylonego krzyża na rozstajach.

Nie mogę oprzeć się zachwytowi. Szczerze podziwiam misterną, wykonaną z prawdziwą finezją, pracę artysty.

— Makieta ta — objaśnia mnie asystent — służyć będzie do zdjęć ogólnego widoku wsi, później zaś do odtworzenia jej pożaru. Wprawdzie zostanie w ten sposób zniszczona, uwieczni ją jednak taśma filmowa. Posługujemy się makietą, aby umożliwić sobie oddanie sceny pożaru. Można byłoby wprawdzie ustawić umyślną wioskę, ale to kosztuje wiele pieniędzy... Po iłkowanie się makietą redukuje te koszta, nie zmniejszając ostatecznego efektu.

Naturalnie, liczne szczegóły pożaru, w których biorą udział ludzie, odtworzy się przy paru dekoracjach na plenerze (zdjęcia pod gołem niebem). Odpowiednio ułożona całość stworzy jednolite, żywiołowe wrażenie.

Zbliża się ku nam reżyser. Na zmęczonej twarzy bez trudu dostrzega się wyraźne ślady przemęczenia forsowną pracą.

Widzi pan — uśmiecha się —

w ciągu roku „nakręcamy“ jeden, najwyżej dwa filmy. Kiedy jednak rozpoczynamy już pracę, musimy ją jak najśpieszniej kończyć, by wycofać częstokroć nie swoje wkłady pieniężne. To też, jak naprzykład obecnie, pracujemy we dnie i w nocy bez wytchnienia prawie.

Film polski spoczywa jeszcze w powijakach. Kinematografja nie opiera się, jak sądzą naiwni, na samych tylko „gwiazdach“. Sami musimy sobie szkolić kadry potrzebnych fachowców. Ciężko było też zwalczać takie przeszkody, jak brak pieniędzy i zainteresowania. W ostatnich czasach ta druga przeszkoda dzięki usilnej pracy i poświęcaniu się została częściowo usunięta.

— Jak się przedstawia sprawa pierwszej przeszkody? — zapytuję.

— Każda sztuka zależna jest w pewnej mierze od poparcia finansowego. Zależność ta jest jednak w żadnym stosunku do żelaznych karbów pieniądza, zaciśniętych nad najmłodszą muzą.

Trawestując powiedzenie Napoleona, należałoby sprowadzić potrzeby filmu polskiego do trzynastu rzeczy. Pierwsza-to pieniądze, reszta nie ważna.

Żegnając uprzejmego reżysera życzę, w imieniu czytelników „Mojego Przyjaciela“, powodzenia w owocnej pracy i wiary w wielką przyszłość polskiej kinematografji.

M. R.



Scena z filmu „Cyrk Charlie Chaplina“, cieszącego się ogromnem powodzeniem w Warszawie.

NOC W PAMPASACH.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY PO AMERYCE POŁUDNIOWEJ.

Uciekłem z Europy do pampasów amerykańskich. Przeszedłem je wdłuż i wszerz. Nie twierdzę, że podróż ta rozwinęła mnie bardzo pod względem duchowym i umysłowym, lecz bądź co bądź dała mi szereg cennych doświadczeń, które przynoszą bodajże większy pożytek, bo przyczyniają się do wyrobienia charakteru i indywidualności. Byłem wówczas rosłym, dobrze zbudowanym młodzieńcem, w którym radość życia grała aż do nadmiaru i który za wszelką cenę pragnął doznać przygód „niezwykłych“, o ile naturalnie, jest to wogóle możliwe w naszym prozaicznym wieku.



Przewodnicy niezwłocznie rozłożyli ognisko...

W pampasach wiodłem żywot pół Europejczyka, pół krajowca. Byłem „człowiekiem śród innych ludzi“. Ciągle jednak czułem, że biały człowiek ze swemi nawykami i przeczulonemi nerwami, był tu intruzem, który musiał zginąć i ginął, jak komar, na tym olbrzymim, spalonym słońcem, kontynencie.

Podczas tych wędrówek spotkałem starego przyjaciela — Niemca, którego nie widziałem od czasu ostatniej wspólnej podróży po Skandynawji, t. j. od trzech lat. Hansa Tremmela muszę wam przedstawić, jako słynnego pogromcę jaguarów. Jest postrachem pampasów. Doskonale zbudowany, wzrostu pięciu stóp i dziewięć cali, ze szczęką buldoga, głęboko osadzonemi, zawsze przekrwionemi oczyma, ocienionemi krzaczastemi brwiami i z czupryną jasno-żółtego koloru, jeżącą się jak szczotka, człowiek ten nie mógł żyć bez przygód i awantur. Snuł wiecznie niezwykłe plany, w których wykonaniu wykazywał wiele energji i stanowczości, słowem, człowiek czynu i niemałej inteligencji. Zapomniałem dodać do jego charakterystyki, że przedtem był marynarzem i jakiś „fatalny zbieg okoliczności“, o którym nie bardzo lubił opowiadać, zmusił go do porzucenia okrętu. Tremmel nie należał do kategorji ludzi, którzy w zwierzeniach znajdują ulgę.

Pewnego razu udałem się w towarzystwie Tremmela i trzech przewodników-metysów do Andamu.

Brnęliśmy przez gęste „szanary“ (zarośle) od samego rana. Konie szły tak raźno, jakby dopiero wróciły z pastwiska. Słońce zapadało coraz niżej i niżej, aby wreszcie skryć się za widnokręgiem.

Zmierzch bardzo szybko przeszedł w ciemną tropikalną noc, pełną niewyraźnych, fantastycznych szmerów i dźwięków.

— Czy aby nie zbłądzimy w tej ciemności? — zapytałem.

— Bądź spokojny! —odrzekł Tremmel. — Marco nie zbłądzi ani w dzień, ani w nocy.

Rzeczywiście, Marco, nasz starszy przewodnik, był jak gwiazda, która zawsze znajduje się na właściwem miejscu, i znał wszystkie okolice tego kraju, jak Europejczycy wnętrze swego domu.



Jeden celny strzał rozstrzygnął sytuację na korzyść Tremmla...

— A jednak powinniśmy się zatrzymać, — przekonywałem mych towarzyszy. — Siedzimy na siodle już od samego rana. To już nie do wytrzymania. Zresztą trzeba przynajmniej koniom pozwolić odetchnąć. Czy nie?

— Naturalnie, — uśmiechając się odrzekł Marco. — Ale zaczekamy jednak z pół godziny, zaprowadzę was na odpowiednie miejsce, gdzie odpoczniemy i znajdziemy wodę dla koni.

Po pewnym czasie dotarliśmy do niewielkiej polany gęsto usianej skalnemi odłamami. Z pod kamieni wypływał mały strumyk, który wił się na piasku polany i ginął w zaroślach. Tu Marco zatrzymał się, mówiąc:

— Oto miejsce, na którem możemy dać koniom wypoczynek i upiec pieczeń dla siebie.

Zeskoczyliśmy z koni, którym wyjęto z pysków wędzidła, aby mogły skubać trawę, a przewodnicy poszli na poszukiwanie suchych gałęzi aby rozłożyć ognisko. Marco zaś rozglądał się dookoła, badając, czy miejsce jest bezpieczne. Oko jego nie spostrzegło nic podejrzanego, to też zapewnił nas, że nie należy się obawiać żadnej niespodzianki.

Rozbiliśmy obóz i niezadługo nad ogniem smażyło się mięso, rozprzestrzeniając zapach, drażniący nasze puste żołądki.

— A czy pan nie obawia się drapieżników?—zapytałem żartem Marco.

— Niema tu innych zwierząt prócz jaguarów, — odpowiedział spokojnie metys, jakby mówił o domowych kotach.

— Co? — krzyknąłem przerażony. — Przecież jaguar jest królem pam-

pasów, a pan odzywa się o nim tak pogardliwie?

Marco zrobił ręką ruch lekceważący i nie zaszczycił mnie nawet odpowiedzią. Spojrzałem na marynarza; ale Tremmel, który miał zaszczyt poznać czworonogich mieszkańców pampasów przede mną, również nie okazywał trwogi; na jego energicznej fizjognomji malowała się zupełna obojętność. Uspokoiło mnie to nieco, jednakowoż dałem sobie słowo, że będę przez całą noc czuwał.

O świcie mieliśmy ruszyć dalej. Trzeba było położyć się spać, aby oznaczona godzina zastała nas pokrzepionych i wypoczętych. Pierwszy miał czuwać Marco, następnie inni. Owinęliśmy się w kołdry i położyliśmy się na miękkiej trawie. Wkrótce rozległo się spokojne i miarowe chrapanie mych towarzyszy. Jakieś nieokreślone obawy długo nie pozwalały mi zasnąć; wreszcie, nie pamiętam nawet kiedy, zamknąłem oczy i usnąłem.

Noc minęła w zupełnej ciszy. Dopiero przed świtem, gdy dyżurował poczciwy Tremmel, obudził nas straszny hałas. Trzask łamanych gałęzi i głuche przeciągłe grzmoty dolatywały naszych uszu. Zdawało się, że setki niewidzialnych nóg pędzą wprost na nasze obozowisko, łamiąc i niszcząc wszystko po drodze. Po chwili przed naszemi oczyma przegalopowała w dzikim nieładzie cała procesja antylop, jeleni i łań; przemknęły one obok nas błyskawicznie, jak burza po równinie, z dziko wytrzeszczonemi oczyma, podobne do jakichś fantastycznych postaci z bajki.

Przerażony skoczyłem na nogi, chwyciwszy za broń; dwóch młodszych przewodników poszło za moim przykładem.

— Jaguar zbliża się, — przerwał ciszę Marco, leniwie podnosząc się z posłania. — Odrzućcie strzelby, — dodał po chwili, — weźcie się lepiej za noże i uważnie oglądajcie się na wszystkie strony. Pilnować mi koni!

Ja z przewodnikiem stanęliśmy po jednej stronie polanki, Marco z drugim przewodnikiem—po przeciwległej, a Tremmel wysunął się nieco naprzód.

W prawej ręce kurczowo zaciskałem rewolwer.

— Owinąć ręce płaszczem, — komenderował spokojnie Marco,—i oczekiwać napadu. Uwaga!

Hałas wywołany przez uciekające zwierzęta, zamarł woddali i dokoła nas zapanowała martwa cisza. Wyraźnie słyszałem bicie mego serca.

Wtem Marco cicho szepnął:

— Patrzcie naprzód, na prawo!

Pierwszy stał Tremmel, za nim w odległości jakich dziesięciu kroków ja z drugim przewodnikiem. Dwa ogniste punkty posuwały się ku nam; prócz błyszczących tych punktów nic nie mogłem w ciemności rozróżnić. Poczułem nagły dopływ odwagi i chciałem już rzucić się naprzód, aby zasłonić przyjaciela, ale wypadki potoczyły się prędzej, niż się spodziewałem. Potężnym skokiem jakieś ciemne, zwinięte w kłębek cielsko, rzuciło się na marynarza. Był to olbrzymi, jakieś osiem łokci długości liczący, jaguar, który rozsiewał dokoła ów przenikający odór, właściwy wszystkim drapieżnikom pampasów. Między Hansem a jaguarem wywiązała się straszna walka.

Wtem Tremmel potknął się, i upadł. Jakieś nieartykułowane przekleństwo doleciało naszych uszu. Ogarnięty zgrozą skoczyłem naprzód i strzeliłem, nie celując nawet, do ryczącego zwierza.

Jaguar skurczył się, jakby od uderzenia. Rozwarł straszliwą paszczę, uzbrojoną w żółte kły, rzężący pomruk wydobył się z jego gardzieli, poczem zaczął jęczeć. Następnie drgnął całem ciałem; ciemny strumień krwi trysnął z jego paszczy. Drgnął po raz drugi, i ciężko runął na marynarza.

— Żyjesz jeszcze? — krzyknąłem.

Tremmel jednym ruchem potężnych ramion zrzucił z siebie cielsko potwora, podniósł się na nogi, i mruknął:

— Widzisz go, takie ścierwo, a rzuca się na ludzi!

— Nie jesteś raniony?—zapytałem.

— Raniony? Przez kogo? Przez tego zdechlaka? — pogardliwie odezwał się mój przyjaciel, wskazując na nieruchomo leżącego jaguara.

— Myślisz pewnie, że to on mnie zbił z nóg? Wcale nie! Żaden kot nigdy nie zwali Tremmela z nóg! Zwyczajnie pośliznąłem się, gdy chciałem wsadzić mu nóż w gardło... Zrobiło mi się wtedy tak jakoś niewyraźnie na duszy, że przez kilka sekund nie myślałem wcale o tem, że trzeba się podnieść... A wszystko przez tę przeklętą żmiję!..

I rzeczywiście, przy świetle zapalonej pochodni, spostrzegliśmy olbrzymią żmiję, z gatunku nieszkodliwych gadów, które w pampasach często zakradają się do obozowisk i śpią razem z ludźmi, zwłaszcza, kiedy jest zimno. Głowa żmiji była roztrzaskana!

Obejrzeliśmy zabitego jaguara. Kula przeszyła mu grzbiet, a prócz tego w piersi mu sterczał nóż Tremmela. Widocznie, kiedy zwierzę rzuciło się na marynarza, nadziało się samo na ostrą broń, która utkwiła mu głęboko w ciele.

— Gdyby nie ta głupia żmija, zadusiłbym go własnemi rękami, — wyrzekł Tremmel, zły, że nie udało mu się spełnić tak prostego, według niego, czynu.

Świtało. Wierzchołki dalekich gór mieniły się w różowych odblaskach wschodzącego słońca, ale zarośla zalegał jeszcze nieprzebyty zmrok. Nieproszony gość, głód, zaczął upominać się o zaspokojenie swoich praw. Posiliwszy się nieco napoiliśmy konie, osiodłaliśmy je i ruszyliśmy w dalszą podróż.

Bolesław Rzewuski.

W NASTĘPNYM NUMERZE
„MOJEGO PRZYJACIELA“
rozpoczynamy druk nowej fantastyczno-naukowej powieści p.t.

SEN ZWYCIĘZCA.

Dzieje genjalnego wynalazku, który wskutek nieumiejętnego i niewłaściwego zastosowania, przekształcił życie ludzkości w tragiczną fantasmagorję.

Powieść ta, z licznemi ilustracjami, będzie drukowana w specjalnym odcinku i będzie w całości zamieszczona w kilku numerach pisma.

Promienie niewidzialne a życie.

NIESPODZIANKI PPZYSZŁOŚCI.

Niezmiernie ciekawe badania nad promieniami ultra-fjoletowemi doprowadziły do wykrycia ich zdumiewających właściwości przyśpieszania pewnych procesów biologicznych, zachodzących w życiu roślin. Zauważono mianowicie, że zielone jeszcze strączki wanilji, poddane działaniom tych promieni, nabierają zapachu, a banany i ananasy dojrzewają wcześniej niż w warunkach normalnych.

W roku 1920, uczony japoński I. Tsudżi powtórzył analogiczne doświadczenia nad trzciną cukrową. Dwie wiązki trzciny kultywowane w ciemności, przy temp. 22°, zostały poddane jedna — działaniu słońca, druga — promieni sztucznych. W przypadku drugim stwierdzono już po upływie 2 godz. odzyskanie utraconych w ciemności właściwości przyswajania węgla (rola chlorofilu) oraz blisko 10 %-wy wzrost zawartego w trzcinie cukru.

Słynny chemik D. Berthelot powiedział: węgiel, ten chleb codzienny współczesnego przemysłu, jest węglem zapożyczonym z powietrza pod wpływem słońca przez przedhistoryczne paprocie. Proces ten u roślin, według Lavoisier'a, prowadzi do wytworzenia z dwutlenku węgla i pary wodnej, zawartych w powietrzu, cukrów — produktu, który stanowi pokarm zwierząt i ludzi.

P. Berthelot i M. Gaudechon okazali na drodze doświadczalnej, że zjawiska powyższe nie są wywołane przez organizm roślin (chlorofil) lecz są skutkiem działania ultrapromieni, zawartych w świetle słonecznem. Uczeni ci drogą sztuczną wytworzyli mączkę i cukier.

Odkrycie to jest wspaniałe a przyszłość jego pełna obietnic.

Promienie ultrafjołkowe fabrykować będą kosztem dwóch gazów, zawartych w powietrzu, wszelkie pokarmy potrzebne człowiekowi do życia! Wkrótce, być może, zamiast pięknych rozległych łąk, rozkołysanych wiatrem łanów zboża, na niezmiernych przestrzeniach urodzajnych pól wyrosną olbrzymie zakłady chemiczne, które pod działaniem promieni ultrafjoletowych, fabrykować będą... mąkę i cukier w pigułkach lub tabletkach.

Wiedza ludzka czyni tak szybkie i zadziwiające postępy, że myśl, wyrażona powyżej, może być zrealizowana jeżeli nie w całości, to przynajmniej częściowo.

Życie bowiem, w najrozmaitszych jego przejawach, uczy nas, że to, co wczoraj jeszcze wydawało się chimerą, dziś, dzięki nauce, staje się rzeczywistością.

B. P.

Olimpjada narciarska w St. Moritz.

25 NARODÓW WALCZY O PALMĘ ZWYCIĘSTWA. — TRIUMF SZWEDÓW. — WYNIKI NARCIARZY POLSKICH.

W St. Moritz skończyły się II-gie Olimpijskie Igrzyska zimowe. 45 narodów, reprezentowanych przez najlepszych swoich narciarzy, łyżwiarzy i hokeistów, stanęło do startu. Zaszczytna walka o pierwsze miejsce śród narodów świata, o międzynarodową sławę, o honor i reprezentację sztandaru narodowego — oto pobudki i cele każdej czwórki reprezentacyjnej.

Walka była ciężka, uparta i obfita w nadspodziewane, emocjonujące momenty. Olbrzymie tłumy otaczają stacje telegraficzne, gromkie okrzyki rozlegają się przy tablicach z wywieszonemi meldunkami z poszczególnych etapów, każda nowina wywołuje wybuchy radości u niektórych, a smutek i przygnębienie u innych. Szalone podniecenie, kolosalny entuzjazm, nieprawdopodobne prawdopodobieństwa, prawdopodobne nieprawdopodobieństwa, okrzyki zwycięstwa, wielkie zakłady, — oto w przybliżeniu atmosfera, panująca dokoła stadjonu.

Najcięższy bój, gigantyczny maraton, bieg na 50 klm. na terenie wysokogórskim (2800 metrów) śród niebywałych warunków śnieżnych, odbył się 14 lutego. Bieg ten kończy się wielką, niespodziewaną w świecie sportowym sensacją. Dotychczasowi „królowie nart", zwycięzcy we wszystkich sportach zimowych, niezwyciężeni Norwegowie — zostają pobici przez Szwedów.

Pierwszy dociera do mety Heddlung, za nim dwaj inni Szwedzi: łącznie trzy czołowe miejsca „maratonu" wyrwali Szwedzi Norwegom. Dotychczasowa przewaga Norwegów w narciarstwie upada; prócz Szwedów na czoło wysuwają się inne narody: Finnowie, Niemcy, Szwajcarzy, którzy osiągają coraz lepsze rezultaty i pracą swą zbliżają się coraz bardziej do klasy norweskiej.

Z pośród Polaków pierwszy przybywa do mety Jędruś Krzeptowski, który zostaje pobity li tylko przez trzech zawodników środkowo-europejskich: dwóch Niemców (Wahl i Bauer) i Czecha (J. Nemecky). Następny przychodzi Bujak, ostatni Kawa. Najlepszy narciarz polski, Wilczyński, zwycięzca w biegu na 50 kilometrów w Zakopanem, polski „Nurmi narciarski", nie skończył biegu dystansowego, gdyż gdzieś w bezbrzeżnych wyżynach złamał nartę.

Następna walka, bieg na 18 klm., odbyła się w piątek 17 lutego. Zasłużone zwycięstwo przypadło w udziale Norwegji, która pobiła zarówno Szwedów, jak i Finnów. Wszystkie pierwsze miejsca przypadły w udziale Skandynawczykom. Z pośród polskich zawodników na czoło wysuwa się Bronek Czech (5 miejsce). Zdystansował on świetnych zagranicznych narciarzy: O. Nemecky'ego, Wendla, Paumgartena, Müllera, Rubiego i in. Niemiec Böck uzyskał lepszy odeń czas zaledwo o 2 sekundy, Czesi Donuth i Nowak — o 1 minutę. Wnet za nim przybył Bujak, następnie bracia Metrykowie. Złe narty są powodem złych rezultatów. Najlepsi nasi zawodnicy — Szostak i Krzeptowski II łamią narty i nie mogą skończyć biegu. Zdarza im się to po raz pierwszy w życiu, ale, niestety, tam właśnie, gdzie zdarzyć się to nie powinno, tam gdzie barwy nasze powinne wysoko i zwycięsko na maszcie olimpijskim zabłysnąć.

W biegu patrolowym czwórka nasza świetnie prowadziła. Wyprzedziła już najgroźniejszych swych konkurentów, Czechów i Niemców i szczęśliwie zdążała naprzód. Osiągnęłaby prawdopodobnie świetne miejsce, gdyby... patrol nasz miał lepsze narty. Na ostatnich kilometrach Zajdel łamie nartę, patrol zostaje zdystansowany przez konkurentów i przybywa późno, za późno nawet do mety.

Reprezentacja nasza wróciła z St. Moritz bez punktów, jednak przyznać trzeba, że rezultaty, osiągnięte przez nią są lepsze, aniżeli można była oczekiwać w tak fatalnych dla niej warunkach. Dorównali prawie Niemcom, Czechom i Szwajcarom. Jeszcze trochę czasu, energji i silnej woli, a za 4 lata, na przyszłej Olimpjadzie, może i zwyciężymy. **A. B.**

Rozrywki umysłowe

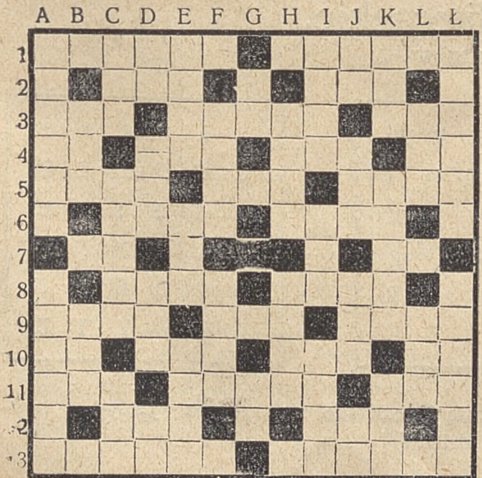
Rebus

ułożył FRANCISZEK GROCHOCKI (Łomża)



Krzyżówka.

Nad. W. WARYSZEWSKI (Warszawa)



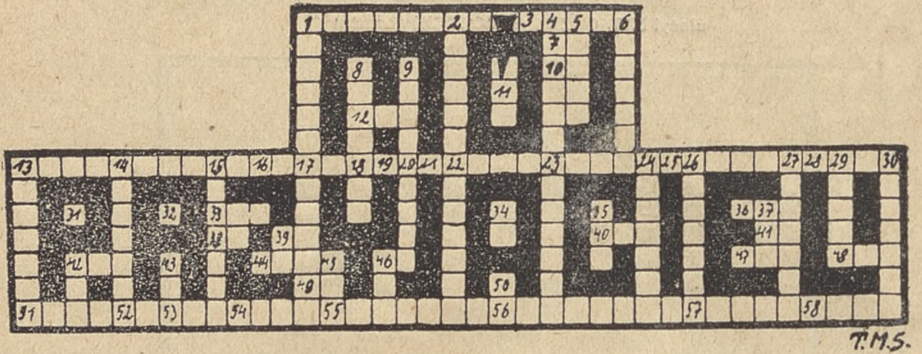
Znaczenie wyrazów:

POZIOMO: 1) Stowarzyszenie niemieckie — Obojętność 2) Ptak — Spójnik 3) Zwierzę — Stworzenie — Część ciała 4) Zaimek — Zbiór drzew — Niewolnik — Zaimek 5) Utwór muzyczny — Smoła szewska — Grupa chem. 6) Papiery urzędowe — Niechęć 7) Zaimek — Zaimek 8) Naczynie — Strój kościelny 9) Opad — Ryba — Część domu 10) Karta — Zwierzę — Rzeka — Posiada (wspak) 11) Roślina — Imię — Część ciała 12) Pierwiastek — Imię żeńskie wspak 13) Przesilenie — Utwór pasterski.

PIONOWO: A) Miara — Sklepik B) Łódki na Tamizie — Owad C) Oprawca — Bożek rzymski — Są na rzece D) Miara — Roślina — Eden — Przyimek (wspak) E) Waga opakowania—Dźwięk—Góry w Ameryce F) Choroba—Ptak pletwonogi G) Rzeka w Rosji—Inicjały bohatera narodowego H) Pierwszy okręt—Imię żeńskie I) Skrzynia — Imię z „W pustyni i w puszczy" — Wiadome (wspak) J) Symbol glinu — Głos — Pierwiastek — Zaimek K) Zaimek — Fata morgana — Moneta (wspak) L) Zaimek — Przyimek Ł) Rodzaj wódki — Sprzęt domowy.

Krzyżówka.

Ułożył MIECZ. TYRAKOWSKI (Skoków) [3]



Znaczenie wyrazów:

Wyrazy poziome:

1) Nalepka. 3) Przysłówek miejsca. 7) Spółgłoska fonet. (wspak). 10) Moneta rzymska (wspak). 12) Zbiór drzew. 13) Czterdziestodniówka. 16) Imię męskie. 19) Co wolno robić na chodniku? 21) Pospolita nazwa buraka. 23) Istoty niewinne. 25) Imię żeńskie. 28) Imię żeńskie. 31) Znak chemiczny fosforu. 32) Znak chemiczny węgla. 33) .Ptak. 36) Dera. 38) Zaimek. 39) Wykrzyknik zniechęcenia. 40) Ciało lotne. 41) Inicjały wielkiego poety polskiego. 42) Trucizna (wspak). 44) Rodzaj kręgowców. 47) Postać mitologiczna. 48) Wyrób z mleka. 49) Przyimek. 51) Owad. 52) Przeczenie w obcym języku. 53) Istoty półboskie (2 prz. l. mn.) 54) Czarodziej indyjski. 55) Wynik. 56) Miasto w Azji. 57) Champion świata w boksie. 58) Angielska miara długości.

Wyrazy pionowe:

1) Najwyższy szczyt świata. 2) Miasto w Czechosłowacji. 4) Imię żeńskie. 6) Przysłówek. 8) Pokój dla przyjęć. 9) Gatunek ryby. 11) Miara powierzchni. 13) Stopień wojskowy. 14) Postać mitologiczna. 15) Imię męskie. 17) Służą do obrobki drzewa. 18) Część doby. 20) Ryba morska. 22) Miasto w Niemczech (końcowe w=t). 23) Postać mitologiczna. 24) Obficie. 26) Imię męskie. 27) W wielkiej ilości 29) Tytuł (na książce). 30) Ten, który doradza (wspak) 34) Mieszkanie pszczół. 35) Dostojnik turecki. 37) Rzeka w Rosji. 42) Porządek (wspak). 43) Ryba. 45) Ptak domowy. 46) Drzewo. 50) Wykrzyknik.

Kwadraty literackie.

Nad. W. NOWICKI (W-wa)

C	C	E	E	E	E
E	E	G	H	I	I
I	I	I	I	K	K
M	M	M	N	N	N
O	O	O	P	P	R
S	T	W	Y	Z	Z

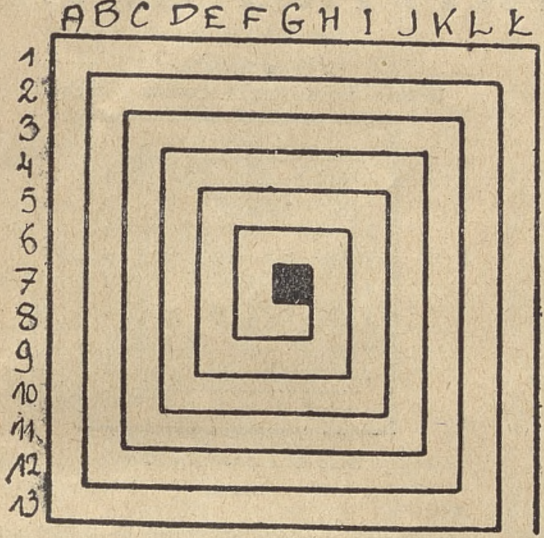
A	C	D	E	E	E
E	E	F	G	H	I
I	I	J	K	K	K
Ł	M	N	O	O	R
R	S	S	S	S	T
U	U	W	Z	Z	Ż

A	A	A	A	A	B
C	C	D	E	E	E
H	I	I	I	I	Ł
Ł	Ł	M	M	N	N
O	O	O	P	R	S
T	W	W	Y	Y	Z

Z liter w każdym kwadracie ułożyć imię i nazwisko autora oraz tytuły dwóch jego dzieł. [3]

Ślimaczniea.

Nad. W. WARYSZEWSKI (W-wa)



Znaczenie wyrazów:

POZIOME:

1A) Leczenie chrób nerwowych za pomocą blaszek metalu. 2B) Kierowanie czemś. 3C) Powietrznia. 4D) Arkusz nut wykonany ruchomemi czcionkami. 5E) Drogi kamień. 6F) Rzeka w Europie. 8F) Symbol chemiczny. 9E) Bożek miłości. 10D) Zwierzę drapieżne. 11C) Miasto zmarłych l = s. 12B) Oddawanie czci wężom 13A) Lecznica.

PIONOWE:

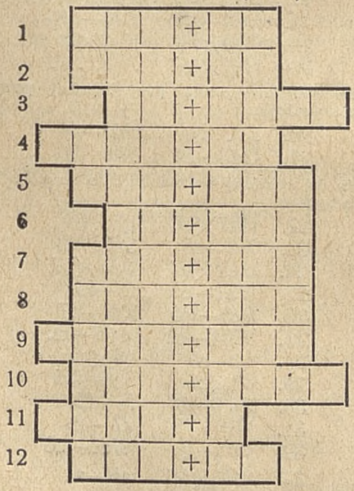
A1) Pokrywanie drogi kamieniami. B2) Miasto we Włoszech. C3) Woźnica Achiljesa. D4) Ptak podobny do bociana. E5) Bagnisty grunt w Syberji, porosły gęstym lasem. F6) Rzeka w Europie. H6) Wodorost morski. I5) Znak na drzewie. J4) Rzeka w Troadzie. K3) Pustelnik. L2) Świadectwo z ukończenia wyższego zakładu naukowego. K1) Człowiekoznawstwo.

Należy ułożyć wyrazy o podanem znaczeniu i wpisać w podaną figurę.

Wyraz w pierwszym wierszu posiada 13 liter, w drugim 11, w trzecim 9 i t.d. To samo stosuje się do wyrazów pionowych. [3]

Logoryf.

Nad. A. BIRNZWEIG (W-wa)



1) Miasto w półn. Afryce. 2) Powieściopisarz rosyjski. 3) Urzędnik ateński. 4) Moneta ateńska. 5) Bogini grecka. 6) Imię męskie hiszpańskie. 7) Bohaterka powieści Orzeszkowej. 8) Miasto we Włoszech. 9) Marszałek napoleoński. 10) Świątynia ateńska 11) Autor „14 punktów". 12) Słynny kompozytor niemiecki.

Rząd oznaczony krzyżykami, daje z góry na dół pierwsze litery imienia i nazwiska słynnego pisarza angielskiego. [2]

Rebus.

Ułożył W. STEC (W-wa) [2]



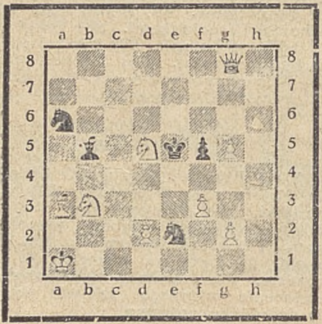
Minjaturki syntetyczne.

Spółgłoska + mapa + piękny (w obcym jęz.) = świrczałka

Zrąb + rzeka + sznur = przyrząd sportowy. [3]

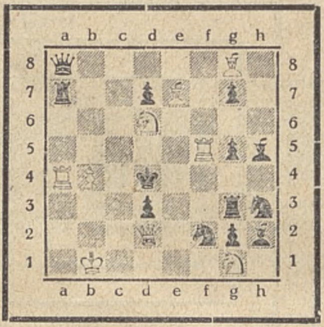
SZACHY

Zadanie № 11.
Franciszek Otto, „Szachy"



Mat w 2 posunięciach.

Zadanie № 12.
Włodz. Pomohaczi, Lwów „Szachy"



Mat w 2 posunięciach.

Partja Sycylijska
Grana w turnieju w Baden Baden.

F. J. Marschall — F. Saemisch

1. e2—e4 c7—c5
2. b2—b4! . . . .

Gambit ten odpowiada ostremu stylowi Marschalla, który nie waha się stosować go nawet przeciw doskonałemu znawcy „Sycyljanki" Saemischowi (a może właśnie dlatego).

2. . . . . c5×b4

Przyjęcie gambitu oznacza dążenie do przeprowadzenia dowodu, że jest niepoprawny.

3. a2—a3! . . . .

Konsekwencja poprzedniego posunięcia, ma na celu otwarcie linji do ataku.

3. . . . . b4×a3
4. Sb1×a3 d7—d6
5. Gc1—b2 Sb8—c6
6. d2—d4 Sg8—f6
7. Gf1—d3 e7—e6
8. Sg1—f3 Gf8—e7
9. 0—0 0—0

Czarne bardzo ostrożnie, może zbyt ostrożnie wyprowadzają swoje figury, mają przewagę materjalną (jednego pionka) i na pozór nic im nie grozi.

10. c2—c4 b7—b6
11. Hd1—e2 Gc8—b7

Mobilizacja skończona po obu stronach. A teraz ciężka artylerja ma głos...

12. Wf1—d1 Wf8—e8
13. e4—e5! . . . .

Śmiała piechota wkracza na terytorjum wroga.

13. . . . Sf6—d7
14. Sa3—b5 . . . .

Wspomagana przez dzielną konnicę.

14. . . . Hd8—b8

Występują pierwsze trudności dla czarnych. Jeżeli bowiem 14 .. d5, to 15. Ga3 i po wymianie gońców Skoczek usadawia się trwale na d6, jeśli zaś 14. . d:e. 15. d:e, a6; 16. Sd6 Ge6; 17. e:d6 i gra białych lepsza.

15. He2—e4 . . . .

Zerka na h7 i nie obawia się, że znajduje się na jednej przekątni z gońcem b7.

15. . . . Sd7—f8?

Ten manewr konnicy nie wychodzi czarnym na zdrowie. Należało grać (z ciężkiem sercem) g7—g6.

16. e5×d6 Ge7×d6
17. Sb5×d6 Hb8×d6
18. Gb2—a3 Hd6—d8
19. Ga3×f8 Kg8×f8
20. He4×h7 . . . .

Białe odzyskały piona przy lepszej pozycji. — Gambit triumfuje.

20. . . . Hd8—f6
21. Gd3—e4 Hf6—h6

Dąży do wymiany hetmanów i do końcówki. Może jakoś to będzie.

22. Hh7×h6 g7×h6
23. Sf3—e5 Sc6—d8
24. Ge4×b7 Sd8×b7
25. Wa1—a3 f7—f6
26. Se5—g4 Kf8—e7
27. Wd1—e1 Sb7—d6
28. c4—c5 b6×c5
29. d4×c5 Sd6—b5
30. Wa3—f3! f6—f5
31. Wf3×f5 a7—a5
32. Wf5—f6 Wa8—a6
33. Wf6×h6 a5—a4

Czy dojdzie?

34. We1—d1! 1We8—f8
35. Sg4—e5 Wf8—f5
36. Wd1—d7+ Ke7—e8
37. Wd7—b7.

Czarne poddają się.

NASZE KONKURSY.

I. Za trafne rozwiązania zadań, umieszczonych w Nr. 1 „Mojego Przyjaciela" redakcja wyznacza następujące nagrody:

I. nagr. *Aparat detektorowy.*

II, III i IV — *nagrody książkowe.*

V i VI — Almanach „Mój Przyjaciel".

Nagrody otrzymają czytelnicy, którzy osiągną najwyższą ilość punktów. Za trafne rozwiązania poszczególnych zadań zalicza się liczbę punktów, wskazaną w nawiasach przy każdym zadaniu. Brak wskazówki oznacza zadanie poza konkursem

Termin nadsyłania rozwiązań z Nr. 2 upływa z dniem 20 maja r. b.

II. Niektórzy czytelnicy przysyłają nam rozwiązania, bardzo ładne, niekiedy wprost artystycznie wykonane. W celu zachęcenia czytelników do dalszej pracy w tym kierunku redakcja wyznacza:

2 NAGRODY KSIĄŻKOWE

za najbardziej ładne i oryginalnie wykonane rozwiązania.

Nie krępujemy czytelników w tym względzie żadnemi ramami i wskazówkami. Przy pewnej dozie pomysłowości i smaku artystycznego rozwiązanie każdego zadania może być obleczone w oryginalne i ozdobne szaty, czego dowodem liczne, bardzo ładnie z punktu widzenia graficznego wykonane rozwiązania, nadsyłane przez naszych czytelników.

Najbardziej udane rysunki będziemy zamieszczali na łamach naszego pisma w dziale „Rozrywek umysłowych".

Dla uniknięcia nieporozumień zaznaczamy, że ten drugi konkurs nie ma nic wspólnego z konkursem I-ym (patrz wyżej), gdzie przy obliczaniu punktów odgrywa rolę wyłącznie *prawidłowość* rozwiązania.

Wynik konkursu rozwiązań z Nr. 11-12 ub. r.

A. Brzozowski (Warszawa) — punktów 21 — I nagroda.

Stanisław Rut (Gdańsk) — punktów 20 — II nagroda (przez los.).

J. Warszawer (Grodno) — punktów 20 — III nagroda.

Czesław Kozłowski (Warszawa) — punktów 19 — IV nagroda.

W. Karwacki (Lublin) — punktów 18 — V nagroda.

E. Opatowski (Włocławek) — punktów 17 — VI nagroda (przez losowanie).

Prosimy wszystkich uczestników, nagrodzonych premjami, o nadesłanie dokładnych adresów (z adnotacją na kopercie „Nagroda") celem wysłania im przysądzonych nagród.

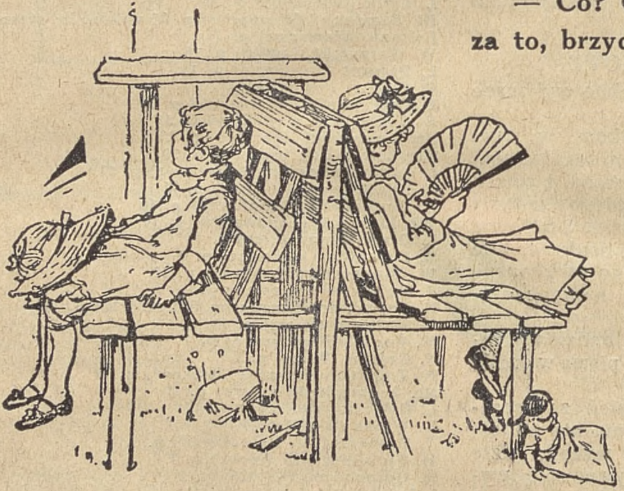
Spis uczestników konkursu z № 11-12 r. ub.

S. Beller (Dolina) p. 9.
R. Rotenstein (Zawiercie) p. 14
J. Frenkiel (Zawiercie) p. 12
B. Oyrzanowski (Kutno) p. 9
St. Nawracki (Mołodeczno) p. 12
L. Wróblewski (Białystok) p. 14
A. Horowicz (Radomsko) p. 11
K. Mielnik p. 7
M. Żeleźniak (Ostryna) p. 9
H. Kozłowski (Borysław) p 9
L. Lew (Lublin) p. 9
A. Oniman (Białystok) p. 17
Al. Strzyg (Płock) p. 12
J. Safjan (W wa) p. 4
M. Tyrakowski (Skoków) p. 8
L. Pur (Wieluń) p. 13
Fr. Grochocki (Łomża) p. 16
N. Cynamon (Płock) p. 6
A. Brzozowski (W-wa) p. 21
Sz. Bilard (W-wa) p. 9
M. Kiesler (Kołomyja) p. 9
J. Belczyk (Rzeszów) p. 10
Cz. Kozłowski (W-wa) p. 19
L. Cwik (Warszawa) p. 16
Al. Sandecki (Wielopole) p. 16 wykon. b. staranne
Folman (Warszawa) p. 7
W. Karwacki (Lublin) p. 18
L. Dimant (Zawiercie) p. 15
C. Rukszt (Wilno) p. 4
E. Opatowski (Włocławek) p. 17
A. Trukienberg (Radom) p. 11
St. Kulasiński (Sierpiec) p. 13
Stanisław Rut (Gdańsk) p. 20
I. Rabinersonówna (Warszawa) p. 13
J. Kwiatkowski (W-wa) p. 11
A. Grundland (Włocławek) p. 16
Wł. Limnoch (Landwarów) p. 14
L. Glauberman (Lida) p. 14
S. Lifschütz (Jackowce) p. 7
W. Waryszewski (W-wa) p. 17
J. Gajewski (Jarosław) p. 7
N. Bergstein (Szczuczyn Białostocki) p. 10
D. Halpern (W wa) p. 11
M. Fogiel (Międzyrzec) p. 7
J. Cejtlin (W-wa) p. 7
A. Zub (Cementownia „Klucze") p. 12
St. Szempliński (W-wa) p. 11
L. Rybczak (Sufczyn) p. 6
L. Weiss (W-wa) p. 6
T. Zylbersztajn (Włocławek) p. 3
H. Finkielsztajn (W-wa) p. 1
R. Gmachówna (Płock) p. 9
I. Lubicki (Radom) p. 10
J. Krawczyk (Dąbrowa Górnicza) p. 13
S. Jarmulski (Modlin) p. 4
Fl. Mioduszewski (Oświęcim) p. 10
M. Palamarczuk (Brody) p. 2
L. Borowski (W-wa) p. 14
H. Bromberg (Łódź) p. 11
T. Habuda (Kraków) p. 4
R. Wasserówna (W-wa) p. 8
F. Kiwelowicz (W-wa) p. 10
A. Worończówna (W-wa) p. 15
M. Kiok (Wilno) p. 16
J. Niesporek (Sokołów Podlaski) p. 15
A. Bentman (W-wa) p. 13
A. Bieczyński (W-wa) p. 11
J. Warszawer (Grodno) p. 20
Wł. Silczyński (W-wa) p. 13
N. Bronstein (Szczebrzeszyn) p. 5
L. Goldberg (W-wa) p. 8
A. Hubiszta (Kraków) p. 7
L. Weinstok (W-wa) p. 13
Z. i A. Harligowie (Gorlice) p. 7
W. Teleżyński (Włodzimierz Wołyński) p. 5
L. Glaszmidt (W-wa) p. 11
W. Nowicki (W-wa) p. 15
M. Marmur (Równe) p. 13.

KĄCIK DLA DZIECI

POKŁÓCIŁY SIĘ.

Irka i Zosia nie umiały żyć w zgodzie. Irka była zła i kapryśna, a Zosia — dobra i wesoła, ale chociaż Zosia ustępowała zawsze Irce — jednak dziewczynki często kłóciły się ze sobą.



— Wiesz co, nauczymy czytać moją lalkę Mimi, — zwróciła się pewnego dnia Zosia do Irki.

— Dobrze, — zgodziła się Ira.

Ale zaledwo przyjaciółki usadowiły Mimi na stole, gdy Irka poczęła krzyczeć na maleńką uczennicę.

— Jak ty krzywo siedzisz, Mimi; nie ziewaj, nie oglądaj się! Ucz się dobrze, trzymaj mocno książkę, głupia Mimi!

— Nie pchaj tak mojej córeczki, Irko! — odezwała się Zosia, — bo spadnie i uderzy się.

— Ale to niemożliwy leniuch!

— Ona nie kocha ciebie, bo ty ją ciągle bijesz! Mnie ona zawsze się słucha.

— Co? Ona mnie nie lubi! Masz za to, brzydka Mimi!

Irka złapała lalkę i z siłą cisnęła ją na podłogę.

Zosia rozpłakała się.

— Jesteś zła, Irko, i ja ciebie więcej nie kocham.

— Nie trzeba! — mruknęła Irka.—A poco przychodzisz zawsze pierwsza przeprosić jeśli mnie nie kochasz?

—Już nigdy nie przyjdę pierwsza!

I teraz przyjaciółki siedzą pogniewane na różnych ławkach.

Kiedy się pogodzą?

Pewnie nie prędko, bo Irka—złośnica i nigdy pierwsza nie przyjdzie, a Zosia strasznie się obraziła tym razem i też dąsa się, siedząc na swojej ławeczce.

A tak im smutno teraz!

Kto jest temu winien?

Jak mały Stasiek stał się pisarzem...



i co z tego wynikło...

Zasłużona nauczka.

Pewnego wieczora stado dzikich słoni powracało z wodopoju, krocząc po Wielkiej Ścieżce Zwierząt, wydeptanej przez dziesiątki pokoleń zwierzęcych. Przodem wesoło biegło maluśkie słoniątko, mające zaledwie piętnaście lat i ważące tylko sto pudów.

Nagle słoniątko stanęło, bo usłyszało piskliwy głos, który wydobywał się jakby z pod ziemi. To mówiła mrówka, która dźwigała na plecach źdźiebełko zeszłorocznej trawy.

— Czyś ty ślepy, ty, duży kawałku mięsa? Co to za głupi młody słoń, który zawsze kręci mi się pod nogami?

Słoniątko ze zdziwienia wytrzeszczyło maleńkie, czerwone oczy, podniosło uszy i stało nieruchomo. Ale stara matka, która szła tuż za niem, krzyknęła zagniewana:

— Co to, głuchy jesteś, czy co? Przeproś prędzej i ustąp z drogi!

— Przebacz mi, o starszy bracie mój, — wybełkotało zawstydzone słoniątko, ostrożnie schodząc ze ścieżki.

Mrówka nic nie odpowiedziała. Młody słoń, widząc, że matka już się wypogodziła, zapytał jej grzecznie:

— Powiedz mi, mamusiu, dlaczego ta mrówka była taka zła?

A matka objaśniła mu:

— Bo mrówka dźwigała na plecach taki ciężar, że gdyby powiększyć go tyle razy, ile razy jesteś większy, cięższy i głupszy od mrówki, i włożyć ten ciężar na ciebie, to byłbyś zmiażdżony z taką łatwością, z jaką ja — patrz — depcę nogą tego skorpjona.

Z pism i książek

Szaniawski Jerzy. „ŁGARZE POD ZŁOTĄ KOTWICĄ". — Nowele. Warszawa, 1928. Hoesick.

Szereg nowel, jak zwykle u Szaniawskiego, przeważnie o ludziach, żyjących w świecie wyobraźni realniejszym dla nich (i dla autora) od rzeczywistości, nie rozumianych jednak przez filistrów i ludzi trzeźwych. Ci ostatni jednak też wyczuwają bezwiednie czar i urok dziedziny ułudy. Treść alegoryczno-symboliczna niezawsze dostatecznie przejrzysta. Nie będzie to książka poczytna, dostępna jedynie dla osób o wyższej kulturze literackiej, a i tym nie będzie się podobać w zupełności, niewątpliwie jednak pociąga umiłowaniem piękna i pogodną poezją nastroju.

London Jack. „CÓRA NOCY". Warszawa, 1927. Bibl. romansów i powieści. Przełożył Jerzy Marjusz Taylor.

Zbiór nowel fantastycznych i kryminalnych, napisanych z właściwym autorowi talentem.

Książka jednak nie jest dodatnia dla młodych umysłów z powodu pewnego rodzaju apoteozy czynów, nie zgadzających się ze zdrowem pojęciem moralnem.

Bonnery Jan. „MIŁOŚĆ i GILOTYNA". Warszawa, 1928. Rój. Tłum. Helena Żółtowska.

Powieść sensacyjna, pisana żywo i zajmująco, czyta się z zainteresowaniem do chwili gdy się czytelnik przekona o dziwnej naiwności autora, który malując cały szereg bardzo dramatycznych sytuacyj ubiera swych bohaterów w jednakowe akcesorja bezgranicznego poświęcenia dla ukochanych. To samo powikłanie i to samo rozwikłanie powtarza się kilkakrotnie.

Książka to właściwie do zabicia kilku godzin samotnej podróży, ale nie dla młodzieży szkolnej.

Rohmer Sax. „DUCHY W ZAMCZYSKU". — Godzina czytania.

Sax Rohmer wskrzesił tradycję słynnego bohatera powieści Conan Doyle'a z bardzo nieznacznemi stosunkowo zmianami. Gdy Scherlock Holmes stosuje do rozwiązywania swych kryminalistyczno - pschologicznych. zagadnień ścisłe metody badania logicznego i przyrodniczego, to Moriz Klaw dokonywa jeszcze cudowniejszych może odkryć sposobami fakirskiemi, wysubtelnioną poddaną żelaznej woli intuicją, a raczej wewnętrznym wzrokiem duszy. Nowelki stanowią miłą wypoczynkową lekturę.

„Skaut" Nr. 2. zawiera wiele wiadomości z życia harcerskiego. O wielkiem Jamboree informuje nas gawęda Baden Powell'a —odznaczonego niedawno orderem „Polonia Restituta". Nowy dział: Z przeszłości — opisuje kulig wojenny w r. 1846. Nowelka: Na śniegu i „Wesołe opowiadania z wesołych kursów" zainteresują na pewno młodych czytelników.

Skrzynka pocztowa

Wł. Silczyński (W-wa). Za przysłane prace serdecznie dziękujemy. Wykonanie staranne przynosi zaszczyt autorowi. Zamieścimy w najkrótszym czasie. Prosimy o dalszą współpracę.

P. Szkoropar (Poczajów). Cieszy nas bardzo pańskie zadowolenie z rozwiązania zadań. Niestety jest ono nieco późne. Termin nadsyłania odpowiedzi upłynął bowiem z dniem 1 grudnia r. ub.

R. W. (Dłutowo). Za wyrazy uznania i szczere życzenia serdecznie dziękujemy. Informacje o które pan prosi dadzą się streścić w kilku słowach: prosimy przesłać próbkę talentu... a zobaczymy.

Ed. Hutorowicz (Nowogródek). Szarady niezrozumiałe Kwadrat tak wykonany nie nadaje się do kliszowania. Zadań nie zamieścimy. Prosimy o dalszą współpracę.

M. Klok (W-wa). Wierszy--radzimy nie pisać. Bo przecież... bić ...pić; przyszedł... ...wyszedł — lub: pojmował... wojował... *to nie rymy*. Żarty dobre. Czy własne?

Al. Sandecki (Wielopole). Rozwiązanie w zasadzie dobre, nie spełnia jednak podanych w zadaniu warunków. Prostokąt bowiem miał być utworzony z *dwóch* części (u Pana 3). Odpowiedzi z działu „Rozrywki umysłowe" zamieszczamy na łamach pisma. 25 gr. na odpowiedź pozwalamy sobie w imieniu Pańskiem przeznaczyć na Towarzystwo Obrony Przeciwgazowej. Czy dobrze?

J. Kiel (Wilno). Niestety, nie zamieścimy. Język wadliwy, brak rytmu, treść nader blada. Odpowiedź szczegółową i wyczerpującą podamy w następnym numerze.

M. Żelaźniak (Ostryna). ...stał... grał... brał... ...chodziłem... ...błądziłem ...chłodziłem ...ty... my... wy.. To nie są rymy. Nie zamieścimy.

Wł. Pietrzak (Kalisz). Pomysł oryginalny. Ujęcie dobre. Styl miejscami nie dopisuje, ale całość nader ciekawa. Zamieścimy w przyszłości.

Mimowoli wyrwało jej się ciche westchnienie. Jakby pod wpływem magnesu nieznajomy odwrócił się. Spojrzawszy na jego twarz, Lorsja cofnęła się gwałtownie wstecz, przyciskając ręką serce.

— Robert! — szepnęła przerażona.

— Co pani mówi? — zapytał Lawared.

Lorsja w milczeniu wskazała na okno. Lawared rzucił się do drzwi, przywarł twarzą do okna i zdziwiony szepnął:

— Kuzyn!

— Jakto! on jest tym Korsarzem? — zapytała, zrozumiawszy wreszcie o co chodzi, Oretta.

— Tak jest, — odrzekł Armand.

— Ależ to pomyłka.

— Zaraz dowiemy się.

Armand pomknął ku wyjściu, obejrzał się dookoła i, stwierdziwszy, że nikt go nie śledzi, szybko zbliżył się do okienka i zapukał. Więzień drgnął. Zdumiony przywarł do okna i, poznawszy Armanda, zbladł, zarumienił się, a potem, uśmiechając się, dał mu znak, aby zaczekał. Wyjąwszy z kieszeni notatnik, szybko napisał parę słów, wydarł stronicę, nachylił się i podsunął ją pod drzwi, które, na szczęście, nie przylegały ściśle do podłogi. Armand podniósł kartkę i przeczytał:

„Zachowujcie milczenie! Nikt nie powinien wiedzieć, kim ja jestem. W Sydneju postaraj się dowiedzieć, w jakiem więzieniu osadzą mnie i zawiadom o tem Dżemsa Packa, sekretarza naczelnika policji. Wtedy, może, uda mi się zbiec.“

Po przeczytaniu tego dziwnego listu Armand spojrzał pytająco na więźnia. Robert potakująco skinął głową, potwierdzając treść listu.

A gdy Lawared wyrazistym ruchem ręki przyrzekł spełnić wszystko, Robert uśmiechnął się zadowolony.

Zdaleka rozległy się kroki. Niema rozmowa urwała się.

Lorsja zbliżyła się do okna i przywarła doń wargami. Jakby zrozumiawszy jej myśl, Robert dotknął wargami zimnego szkła, które zamgliło się od czystego pocałunku nieszczęśliwej narzeczonej. Wtem nadszedł Olsmajn i począł usilnie przepraszać panie za tak długą nieobecność, nie podejrzewając nawet, jak chętnie jego współtowarzysze podróży pozbyliby się jego towarzystwa na zawsze. Ale widząc niezadowolenie, malujące się na twarzy jego gości, zapytał zdziwiony:

— Czy to widok tego korsarza tak podziałał na dobre humory towarzystwa?

Armand pośpieszył z odpowiedzią.

— Wie pan, na widok tego strasznego bandyty odrazu pomyśleliśmy sobie: coby było, gdybyśmy go tak spotkali na wolności?

Olsmajn wesoło roześmiał się.

— Jakto? Czy ta myśl tak przestraszyła nasze towarzyszki?

— A co pan myśli? Przecież nie spotyka się codziennie takich opryszków!

— I ja tak myślę. Ale mogą panie uspokoić się. Teraz nic już nam nie grozi.

— Spodziewam się.

— Po powrocie do Sydneju ten bandyta będzie sądzony przez sąd doraźny. Ręczę, że za tydzień będzie on już wisiał. Wtedy, mam nadzieję, nikt już nie będzie go się obawiał.

Lorsja nie mogła stłumić nerwowego ruchu wobec tak okrutnej wiadomości. Ale Olsmajn nie zrozumiał nic, i dodał ze słodkim uśmiechem:

— Wiecie państwo, chcę, aby towarzystwo zachowało jakieś wspomnienia o tej podróży. Mówią, że we Francji istnieje wierzenie, iż sznurek wisielca przynosi szczęście. Polecę zachować kilka centymetrów sznurka, który pomoże ciału tego łotra rozstać się z grzeszną duszą, i niech ten kawałek sznurka będzie symbolem najszczerszych moich życzeń!

I zadowolony ze swego pomysłu Olsmajn odprowadził gości na pokład. Tam pod różnemi pretekstami goście pożegnali się i zebrali się w kabinie Lorsji, gdzie dziewczyna puściła wodze swej rozpaczy.

— Niech pani nie rozpacza, Lorsjo, tylko nie rozpaczać! — nalegał Armand. — Sądząc z treści listu Roberta, nawet Dżems Pack jest przeciwnikiem tego nosorożca Olsmajna. Niech mi pani wierzy, że wszystko dobrze się skończy!

II.

Podróż od ujścia rzeki Szem do Sydneju trwała jedenaście dni, jednak, mimo największych wysiłków, Lawaredowi nie udało się jeszcze raz pomówić z kuzynem. Prawda, widywał on więźnia

codziennie podczas jego spacerów na pokładzie okrętu, ale wtedy Robert bywał zawsze otoczony strażą, która śledziła za każdym jego ruchem. W międzyczasie Armand dowiedział się, że Robert, jako przestępca polityczny, winny zamachu na bezpieczeństwo Anglji, będzie osadzony w więzieniu świętego Makarjusza. Więzienie to znajdowało się w gmachu starej twierdzy. Stare kazamaty z wąskiemi strzelnicami, przebitemi w bardzo grubych murach, uniemożliwiały wszelką próbę ucieczki.

Wiadomości te nie mogły uspokoić ruchliwego dziennikarza. Rozumiał bowiem, że uwolnienie Roberta jest prawie niemożliwe. Po przybyciu do Sydneju Armand z żoną i Lorsją zatrzymali się w „Centeniol-Park" hotelu; stamtąd Lawared natychmiast udał się na Paramara-street, aby porozumieć się z Dżemsem Pack'em. Armand nie wierzył w skuteczność pomocy garbusa, chciał jednak spełnić polecenie uwięzionego kuzyna. Przed domem, na ulicy, spotkał uśmiechniętego i zadowolonego sekretarza naczelnika policji. Spotkanie to bardzo ucieszyło dziennikarza, który mógł w ten sposób załatwić sprawę z Pack'em na osobności, nie budząc żadnych podejrzeń u Olsmajna.

— Witam pana, panie Lawared! - odezwał się Dżems. — Wspaniale pan wygląda. Nie potrzebuję nawet pytać, jak zdrowie pana!

— Tak, jestem zupełnie zdrów. A jak pan się czuje?

— Dziękuję. Bardzo dobrze.

— Wie pan, jestem zdrów na ciele, ale chory na duszy. Czy nie mógłby mi pan poświęcić paru chwil.

— Jestem całkowicie do usług pana!

— Więc zawróćmy w jakąś boczną ulicę; nie chcę, aby nas ktoś podsłuchał.

Lekki uśmiech przemknął przez twarz Dżemsa, ale nie odpowiedział ani słowa i ruszył z paryżaninem na wskazaną ulicę.

Przeszedłszy w milczeniu kilka kroków, Armand zwrócił się do Dżemsa:

— Mam dla pana zlecenie, panie Pack, — rozpoczął.

— Zlecenie? Od kogo!

— Od Podwodnego Korsarza.

— A! Od Podwodnego Korsarza? Tego samego, którego genjalny mój patron zaaresztował w górach Brimstońskich?

— Właśnie.

— Cóż, czy wątpi pan w autentyczność jego? — zapytał ironicznie.

Lawared spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Bądźmy szczerzy, mister Lawared. Bardzo panu dziękuję za spełnienie zlecenia swego kuzyna, ale fatygował się pan zbytecznie: wiem już wszystko.

— Wszystko?!

— Bez wyjątku. Wiem nawet, pocą pan przyszedł do mnie.

— Pan żartuje!

— Wcale nie...

— Proszę o dowody.

— Więzienie świętego Makarjusza.

Armand ukłonił się zdziwiony.

— Zgadza się w zupełności. Tę właśnie nazwę chciałem panu zakomunikować. W ten sposób prośba uwięzionego jest spełniona.

— Tak. Ale on ma inną jeszcze chęć.

— Jaką?

— Wyjść z więzienia.

— No, oczywiście. Ale wątpię, czy to się uda.

— W takim razie ośmielę się zakomunikować panu, że kuzyn jego ma o tem wręcz przeciwne zdanie.

— Już? A więc porozumiał się już pan z nim?

— O tyle nawet, że Robert zna termin, kiedy opuści niegościnne mury więzienne. To będzie pojutrze. Teraz proszę udać się do domu i uspokoić panie.

I nie oczekując odpowiedzi od osłupiałego ze zdumienia dziennikarza, Dżems Pack obrócił się i wkrótce znikł za rogiem Paramara-street.

— Nie,—mruczał Lawared, oprzytomniawszy ze zdziwienia— nie, nigdy nie widziałem jeszcze takiego nagromadzenia tajemnic. A zresztą, niema tu nic smutnego. Pójdę do domu. Oretta, a specjalnie Lorsja ucieszą się chyba wiadomościami, które im przyniosę.

I Lawared szybko udał się do domu.

* * *

(d. c. n.)

RREMJE dla Czytelników „Mojego Przyjaciela“

Czytelnicy „Mojego Przyjaciela“, którzy uiszczą prenumeratę za jakikolwiek bądź okres czasu — otrzymują następujące premje, (względnie ulgowe warunki przy nabywaniu książek wyd. „Pomoc Szkolna“).

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel“ na **1 kwartał**, otrzymują z rabatem **50%**:

1) **Mały kalendarz „Mój Przyjaciel“** cena 75 gr.

2) **Almanach „Mój Przyjaciel“** tom I-szy cena zł. 2

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel“ na pół roku, otrzymują prócz wymienionych w p. 1. i 2. z rabatem **50%**

3) **Duży kalendarz „Mój Przyjaciel“**

Cena księgarska w oprawie tekturowej zł. 2.50; w ozdobnej oprawie zł. 3.—

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel“ na rok, otrzymują prócz wymienionych w p. 1. 2. 3. z rabatem **50%**

4) **Almanach „Mój Przyjaciel“, t. II|III (rocznik 1927)**

Cena księgarska zł. 6.

Na koszty przesyłki należy załączyć:

za Mały Kalendarz „Mój Przyjaciel“ . . . . . gr. 15
za Almanach „Mój Przyjaciel“ tom I . . . . . „ 35
za Duży Kalendarz „Mój Przyjaciel“ . . . . . „ 35
za Almanach „Mój Przyjaciel“ tom II/III . . . . . „ 60

5) Prócz tego wszyscy prenumeratorzy pisma „Mój Przyjaciel“ korzystają przy kupnie książek wyd. „Pomoc Szkolna“ z rabatu **10%**.

Szczegółowy katalog wydawnictwa „Pomoc Szkolna“ wysyła się na żądanie bezpłatnie.

Administracja p. „Mój Przyjaciel“

KUPON do Nr. 3.

(Wyciąć i załączyć do rozwiązania zadań)

Imię i Nazwisko ____________

Adres ____________

POLECAJCIE WASZYM KOLEGOM i ZNAJOMYM
p. „MÓJ PRZYJACIEL“,
GDYŻ ZE WZROSTEM ILOŚCI PRENUMERATORÓW
— WZRASTA JEGO DOBROĆ.

Słownik polsko—litewsko—rosyjski
zawiera około 10.000 słów. Nadający się dla rosjan i dla litwinów. c. 3.—

Kalendarz ucznia p. t. „MÓJ PRZYJACIEL" na r. 1928 wyd. zmienione i uzupełnione (kalendarz, notes, skróty nauk szkolnych i wiadomości praktyczne)
cena w ozdobnej oprawie . . . . 3.—
„ w kartonie 2.50

Kalendarz ucznia na rok 1928. Kalendarz, notes i wiadomości praktyczne w okładce . c. —.50

Almanach „Mój Przyjaciel" tom I zawiera:
Naokoło świata. — Przyroda. — Księgi najnowszych wynalazków. — Zabawy i gry towarzyskie — Rzeczy pożyteczne. Zadania (na podstawie matematyki). Zgadnij? i inn. c. 2.—

Almanach „Mój Przyjaciel" tom II/III (rocznik 1927) zawiera ciekawe działy:
Szkoła a życie. — Nowela i feljeton. — Artykuły popularno-naukowe. — Nieparadoksalne paradoksy. — Młody technik. — Radjo. — Awjatyka. — Sport. — Teatr i kino. — Ze świata. — Podróże i przygody. — To i owo. — Humor i inn. c. 6.—

Nowości, które się ukażą z druku:

Samouczek języka niemieckiego

Cyd — Charakterystyka

Skrót historji literatury polskiej w 3-ch częściach

Księgi Narodu i Pielgrzymstwa (oprac.) **Mickiewicza**

Tematy maturalne z zakresu historji:

1) Rywalizacja polsko-szwedzka o Bałtyk. 2) Walka o morze w dziejach Polski. 3) Znaczenie dla Polski dostępu do morza ze stanowiska interesów ekonomicznych. 4) Polityczne znaczenie posiadania Bałtyku. 5) Obyczaje i zwyczaje ludów, mieszkających nad Bałtykiem. 6) Bałtyk jako morze. 7) Polska a Gdańsk.

WYDAWNICTWO
„POMOC SZKOLNA" H. WAJNERA
Warszawa, Bielańska 5.

Dodatek do katalogu № 16.

Zarys historji wychowania
Opracowany na podstawie najnowszych podręczników polskich i obcych z dodaniem w końcu bardziej skondensowanego streszczenia, umożliwiającego powtórzenie całego kursu przed samemi egzaminami. c. 3.—

Samouczek języka francuskiego
Opracowany na zasadzie t. zw. „metody koncentrycznej", ułatwiającej gruntowne nauczenie się języka francuskiego bez pomocy nauczyciela, i zaopatrzony w wypisy, wzory listów i rozmówki, z dodatkiem, zawierającym rozwiązania wszystkich ćwiczeń i zadań. c. 3.50

Gramatyka francuska w 100 prawidłach
Jasny, zwięzły i przystępny wykład prawideł mowy i pisowni francuskiej, z dodaniem spisu rzeczy, terminów gramatycznych w alfabetycznym porządku ze wskazówkami ich rozmieszczenia w książce. Mimo skromnych rozmiarów zawiera cały materjał wymagany przez program Min. W. R. i O. P. c. 1.50

Francuska Korespondencja handlowa
Każdy rozdział poprzedzają objaśnienia w języku polskim, również każdy list zaopatrzony jest w krótkie objaśnienie (w jęz. polskim). Do listów dodane są uwagi, jak np. tłumaczenie i objaśn. trudniejszych słów i zwrotów francuskich, wskazówki gramatyczne i t. p.

Skróty historji powszechnej p/g *Nankego, Gebertów, Zakrzewskiego* i inn.
— Starożytna, Średniowieczna, Nowożytna, Nowoczesna.
Dostosowane ściśle do wymogów programu Ministerstwa W. R. i O. P., nadają się one do powtórzenia kursu, bez względu na to, według jakiego podręcznika dany czytelnik uczył się przedmiotu. Do każdego tomiku dodano zbiór pytań syntetyczn. cena każd. części 1.20

Skrót Nauki o Polsce Współczesnej wraz ze zbiorem pytań syntetycznych, przystosowany do programu Ministerstwa W. R. i O. P. c. 1.20

Krótki zarys fizyki wraz ze zbiorem wzorów i pytań, przystosowany do programu Min. W. R. i O. P.
Wykład przystępny, ścisłe określanie pojęć i jasne sformułowanie praw, obfite przykłady ilustrujące ułatwiają uczniowi zrozumienie przedmiotu. Pytania, zamieszczone w końcu podręcznika, obejmują również całokształt fizyki w zakresie gimnazjalnym.
Odpowiedzi na powyższe pytania nie wymagają prawie wcale rachunku ani konstrukcji, lecz tylko samodzielnej obserwacji i wniknięcia w treść poznawanych praw przyrody. c. 3.—

Zadania maturalne podane w różnych gimnazjach z rozwiązaniami za 1927 r. w zeszytach c. zesz. à 1.80

Rybkina — Rozwiązania zadań geometrycznych (cz. III)
— Stereometrja z zastosowaniem trygonometrji w 3 zeszytach cena zesz. à 1.80

Słowniczek ortograficzny I liput „HAWU"
zawierający najniezbędniejsze słowa ortografji polskiej c. —.50

Nauka administracji i Prawo administracyjne
1. Uzupełnienie do skryptów. 2. Pytania c. 2.50

Konstytucja 17 Marca 1921 r. wraz ze zmianami, wprowadzonemi przez ustawę z dn. 2 Sierpnia 1926 r. pod redakcją *A. Tompolskiego* c. —.60

Opracowania tematów maturalnych z literatury polskiej — zeszyt IV zawiera:
Idee estetyczne Norwida. — Prus i Orzeszkowa wobec haseł „Ody do młodości". — Pierwiastki ideowe w twórczości Marji Konopnickiej. — Świat ukochań chłopa polskiego w Placówce.—Idee etyczno-społeczne Orzeszkowej na tle powieści Nad Niemnem. — Optymizm historyczny Sienkiewicza w Trylogji. — Pierwiastek religijny w Mojej Pieśni Wieczornej Kasprowicza. — Petronjusz a Hamlet, pokrewieństwa i różnice. — Tło dziejowe w Popiołach. — Tragedja współczesności w świetle „Wesela" Wyspiańskiego. c.

Mickiewicz — Krasiński. Ich życie na tle twórczości.
Utwory te omawiają w sposób wyczerpujący całokształt twórczości wieszczów na tle ich życiorysów. cena książki 1.50

Moljer i jego twórczość
Życie i dzieła. — Tło epoki. — Rozbiór poszczególnych komedyj Moljera. — Ogólna charakterystyka komedyj. — Problemy socjalne i obyczajowe w komedjach M. — Znaczenie M. — Moljer a literatura polska. c. 1.50

Geneza, treść, rozbiór i opracowane tematy

Mickiewicza — Konrad Wallenrod w nowem przerobion. wydaniu	—.80
Mickiewicza — Grażyna w nowem przerobion. wydaniu	—.50
Mickiewicza — Ballady i romanse	—.50
Słowackiego — Marja Stuart	—.40
Kochanowskiego — Odprawa posłów greckich	—.40
Fredry — Pan Geldhab	—.50
Krasickiego — Przypadki Mikołaja Doświadczyńsk.	—.50
Sienkiewicza — Quo Vadis?	1.—
— Rodzina Połanieckich	1.—
— Bez Dogmatu	1.—
— Krzyżacy	—.80
Wyspiańskiego — Warszawianka	—.50
Prusa — Emancypantki	—.—
Szekspira — Makbet	—.70
Sofoklesa — Król Edyp	—.50
Byron — Korsarz i Giaur	—.80

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

TREŚĆ NUMERU:

WARUNKI PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ w p. „MÓJ PRZYJACIEL":

Prenumerata roczna zł. 6.60; półroczna — 3.30, — kwartalna 1.65, — miesięczna — .60.
Ceny ogłoszeń: Za tekstem cała str. — 100 zł., 1/2 str. — 55 zł., 1/4 str. — 30 zł. 1/8 — 20 zł.; na okładce cała str. — 140 zł., 1/2 str. — 75 zł., 1/4 — 40 zł., 1/8 — 25 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Bielańska 5, tel. 239-18.

Do numeru niniejszego załączono prospekt kalendarza „Mój Przyjaciel" i katalog wyd. „Pomoc Szkolna" H. Wajnera.

Redaktor B. Petersilie — Wyd. „Pomoc Szkolna" H. Wajnera

Druk. B-ci Wójcikiewicz, Warszawa, Pawia 10.